№ 15. Warszawa, dnia 30 Marca (11 Kwietnia) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

IV.

Elżbieta, pierwsza żona Zygmunta Augusta.

Wiadomo, że dom panujący austryacki pozyskał większą część posiadanych przez siebie do dziś dnia ziem i królestw przy pomocy związków małżeńskich, skąd nawet powstało odwieczne wierszowane przysłowie łacińskie, które w przekładzie polskim tak brzmi: „niech inni toczą wojny, ty, Austryo szczęśliwa, zawieraj śluby, gdyż Wenus daje ci królestwa, które Mars zdobywa dla innych”. Zdobywszy tą drogą przy końcu wieku XV-go kraje burgundzkie, dom Habsburski nie omieszkał oplątać węzłami powinowactwa małżeńskiego także i domu Jagiellonów, który wtedy, przez czas wprawdzie bardzo krótki, był w Europie najpotężniejszym, bo panował nietylko w Polsce i dawnej Litwie, ale także w Czechach i Węgrzech. Pierwszym związkiem domu austryackiego z dynastyą Jagiellonów, było jeszcze przedtem małżeństwo Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą i jej to właśnie synowie zajmowali trony polski, litewski, czeski i węgierski. Tego jednak było Habsburgom niedosyć: usiłowali zacieśnić te węzły, aby ułatwić sobie zagarnięcie Czech i Węgier po Jagiellonach, co się im udało w zupełności. Na zjeździe bowiem preszburskim w r. 1515, gdzie obecny Zygmunt I za mało okazał dbałości o interesa swojej dynastyi, cesarz Maksymilian przeprowadził podwójny układ małżeński, przeznaczając swą wnuczkę za żonę młodocianemu Ludwikowi Jagiellończykowi, królowi Czech i Węgier, a siostrę jego oddając w małżeństwo swemu wnukowi Ferdynandowi, wraz z zapewnieniem mu następstwa na oba te trony. „Małżeńską”, tę politykę uwieńczył zupełnie pomyślny skutek, gdyż po zgonie Ludwika pod Mohaczem w roku 1526, Ferdynand został królem Czech i Węgier, które już odtąd z pod berła austryackiego nie wyszły.

Prawdopodobnie Habsburgowie zamierzali także o podboju Polski tą samą drogą matrymonialną. Jechały więc wciąż arcyksiężniczki austryackie do Polski na żony królów i poczynając od Kazimierza Jagiellończyka, aż do Maryi Józefy, żony Augusta III, było u nas najwięcej, bo aż ośm królowych z domu austryackiego.

Jako nowy krok na drodze zarzucania sieci podboju małżeńskiego, należy uważać związek Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką Elżbietą, córką Ferdynanda. Małżeństwo to ułożono jeszcze w roku 1530, gdy narzeczony miał zaledwie lat dziesięć, a oblubienica — tylko trzy lata: tak pilno było Habsburgom, wraz po pochłonięciu Czech i Węgier, przykuć łańcuchem hymenu do swego wozu także i Polskę. Było to nowe zacieśnienie istniejących już węzłów pokrewieństwa między dwiema dynastyami, gdyż matka Elżbiety, Anna Jagiellonka, siostra Ludwika, o której wspomnieliśmy powyżej; była stryjeczną siostrą młodocianego Zygmunta Augusta.

Dwór austryacki baczył troskliwie, ażeby ten związek doszedł do skutku. Młodociani narzeczeni obdarzali się nawzajem upominkami i listami, a w r. 1538 nastąpiły formalne, chociaż zaoczne, zaręczyny: obrączkę zawiózł oblubienicy do Wiednia poseł polski, znany poeta Jan Dantyszek, biskup warmiński. Ferdynandowi tak było pilno, że wkrótce po zaręczynach, jeszcze w tym samym roku, wysłał do Krakowa swych posłów, w celu zawarcia umowy przedślubnej z „obydwoma królami polskimi”, gdyż wiadomo, że Zygmunt August już za życia ojca, w roku 1530 został uznany królem i nosił tytuł „króla młodszego”; nigdy zaś nie był „następcą tronu”, jak to podoba się autorowi jednego z najnowszych podręczników do dziejów Polski, bo i w ogóle taki tytuł nie był zupełnie znany w historyi naszej. Zresztą, chociaż Zygmunt August od owego roku 1530 rachował lata swego panowania, do rządów nie mieszał się wcale i królowanie jego, aż do zgonu ojca było nominalne, od roku zaś 1530 do 1548 trwało jedyne w dziejach polskich zjawisko — panowanie

spółczesne dwóch królów — ojca i syna, „króla starszego” i „króla młodszego”.

Zaręczyny Zygmunta Augusta z Elżbietą, obchodzono uroczyście r. 1538 w Krakowie i w Inszpruku, gdzie przebywała narzeczona; ale ślub uległ zwłoce aż do roku 1543. Jest rzeczą pewną, że zachodziły rozmaite intrygi w celu zerwania zamierzonego związku, a mianowicie ze strony wszechwładnej podówczas królowej-matki Bony, niezadowolonej z dworu habsburskiego. Zaślubiny odbyły się nakoniec, dopiero w maju 1543 roku, gdy Zygmunt August doszedł do 23, oblubienica zaś do 17 roku życia.

Niedługo jednak trwało zgodne pożycie małżonków. Król Ferdynand pozostawił przy córce, w roli sekretarza, Jana Marsupina i rozkazał mu, aby donosił szczegółowo o wszystkiem, co się tyczy dworu królewskiego i pożycia młodej pary. W archiwum wiedeńskiem przechowały się listy Marsupina do Ferdynanda, z których korzystał A. Przezdziecki do swego dzieła „Jagiellonki polskie”.

W tych listach ajent królewski skarży się wciąż na królową Bonę, z którą odrazu znalazł się w stosunkach bardzo nieprzyjaznych, co utrudniało mu wielce jego pobyt w Krakowie. Królowa-matka, z zawziętą nienawiścią, cechującą najpospolitsze stare teściowe w stosunku do młodych synowych, prześladowała i gnębiła biedną Elżbietę, jednocześnie wszelkiemi środkami usiłując zobojętnić dla niej Zygmunta Augusta. Czysto kobieca zazdrość odegrywała ważną rolę w tej niechęci: „najwięcej nie podoba się królowej Bonie — pisze Marsupin — że ją nazywają wszyscy królową starszą, naszę zaś panią (Elżbietę) — królową młodszą, że Bonę znajdują wszyscy starą i brzydką, królową Elżbietę zaś — młodą i piękną.”

Szczegółowo pisze Marsupin o „babskich fochach Bony”. Podobnie jak w rodzinach najpospolitszych, pomiędzy dwiema królowemi zachodziły kłótnie i spory z *powodu spraw kuchennych* i śpiżarnianych. Bona nie pozwalała kucharzom młodej pary, gotować w swojej kuchni i wznieciła raz wielką burzę o kawałek sera parmezańskiego, wydany Elżbiecie ze śpiżarni królewskiej! Marsupin musiał mięszać się do tych „fochów babskich”, łagodzić je i godzić z całą powagą. Królowa Elżbieta aż płakała w skutek tych przykrości, tak, że biskup płocki musiał przysyłać swoją kapelę dla jej pocieszenia i rozrywki.

„Doszło do tego — pisze Marsupin — że królową Bonę boli, gdy kto do młodej królowej przemówi, albo ukłon odda, albo różę w upominku odda i wtedy babskie głupstwa wyrabia, niegodne nietylko krolowej, ale każdej uczciwej niewiasty. Wstydziłbym się pisać o nich do w. k. mości. Cały świat nazywa tę Bonę szaloną i rozwściekloną.”

Skarży się również sekretarz na ulubieńca Bony, prymasa Gamrata i ubolewa nad losem Królestwa, zostającego pod rządami słabego starca i przebiegłej intrygantki.

Takie to życie pędziła młodziutka „królowa młodsza” w Polsce.

Usiłowania Bony w celu odwrócenia serca syna od młodej małżonki, zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż matka, która go wychowała w swoim fraucymerze, posiadała i teraz dosyć środków wpływu na słaby i zniewieściały umysł Zygmunta Augusta. Pożycie małżonków trwało według bardzo dokładnych określeń Marsupina, zaledwie dwa miesiące — od początku Maja do początku Lipca. Gdy w Lipcu Kraków nawiedziła morowa zaraza, Zygmunt I umyślił opuścić stolicę i udać się do Niepołomic. Miały mu towarzyszyć obie królowe, a Zygmunta Augusta, aby go oderwać od młodej żony, Bona umyśliła wysłać na kilka miesięcy do Warszawy i Piotrkowa. Marsupin używał wszelkich środków, ażeby zapobiedz temu tak prędkiemu rozłączeniu się młodej pary, chodził nawet do Bony, ale nic nie wskórał, bo stara królowa do niemiłego sobie ajenta mówiła tak „jakby do osła”, według własnego wyrażenia listu Marsupina. Stało się więc jak chciała Bona: wyjechała ze starym królem i Elżbietą naprzód do Niepołomic, ztamtąd zaś do Nowego Miasta (Korczyna), a Zygmunt August udał się w inną stronę, bo już nawet nie do Mazowsza ale dalej — na Litwę. Zmiana ta w projektach Bony miała na celu, oczywiście, przedłużyć nieobecność młodego króla.

Tak więc Elżbieta została opuszczeną przez męża. Król Ferdynand, dowiedziawszy się o tem z listu Marsupina, pisał sam do króla Zygmunta I i do niektórych panów polskich, skarżąc się na tę obelgę i przedstawiając nieprzystojność wyjazdu młodego króla i to w niebezpiecznym czasie morowej zarazy, jak gdyby nie dbał nic o młodą małżonkę, ani o potomstwo, ale owszem, jakby mu pilno było opuścić ją najśpieszniej. Na skargi te jednak Zygmunt I, a raczej królowa Bona nie zważała wcale.

Stroskany Marsupin pozostał w Krakowie, śród morowego powietrza, bo jechać z królem i Boną nie chciał. Obawiał się nawet, jak o tem wyraźnie napomyka w liście do Ferdynanda, ażeby go Bona ze świata nie zgładziła: prosił więc o odwołanie, które w istocie niebawem nastąpiło.

Nie przestawali jednak król Ferdynand i jego żona Anna pisywać do króla starego i do Zygmunta Augusta, ujmując się za córką i żądając, ażeby obchodzono się z nią „według praw boskich”. W odpowiedzi otrzymywali sztywne zapewnienia, że królowa Elżbieta używa wszelkiej należnej czci i miłości. W rzeczywistości jednak tak nie było. Owo pierwsze rozłączenie się młodych małżonków, które miało trwać początkowo od Lipca tylko do św. Michała, przeciągnęło się aż do jedenastu miesięcy, gdyż Zygmunt August połączył się z żoną dopiero w Czerwcu r. 1544 w Brześciu, więcej dla formy, gdyż pozostał stale obojętnym dla Elżbiety.

Po odwołaniu Marsupina, król Ferdynand i brat jego cesarz Karol V, wysyłali do Polski nieraz nowych posłów, wyłącznie dla wiadomości o losie i położeniu Elżbiety. Miejsce Marsupina, jako stały sekretarz młodej królowej, zajął wprawdzie niejaki Jan Lang, ale rodzina Elżbiety mało snadź na nim polegała, skoro wysyłała osobnych posłów. Jeden z nich, znany Zygmunt Herberstein, opisywał w listach do Ferdynarda wszystko, co widział i słyszał. Jeden z takich listów, datowany z Piotrkowa, donosi o zagadkowym jakimś zamachu nocnym na życie czy to Bony, czy Elżbiety, które mieszkały w jednym dworze drewnianym. „W nocy — pisze Herberstein — ktoś wlazł na drabinę z obnażonym mieczem w ręku, stanął jedną nogą na oknie od sypialnej komnaty królowej i otworzył je mieczem. Już miał spuścić się na dół, lecz gdy potrącił karła śpiącego na szłabanie pod oknem, a ten zaczął wrzeszczeć, obudziły się naprzód panny, a potem sama królowa.

Usłyszawszy krzyk, nieznajomy zlazł po drabinie na dół. Po dziś dzień nie można wiedzieć, ktoby to był. Zrazu o tem i owem gadano, ale nie można było przyjść do żadnego, pewnego wniosku. Powiadają jeszcze, że w ogrodzie stało z dziesięciu ludzi, jakby na warcie. Co do tego, żeby to zamierzonem było na młodą królowę, to nie prawda; chyba pocichu i pokryjomu o tem mówiły złe języki (?). Młoda królowa zachowała to dla siebie w tajemnicy (?). Dla zamydlenia oczu (?) posłom waszej królewskiej mości, oraz panom rad i posłom korony polskiej.

Należy przyznać, że i powyższy opis jest równie zagadkowym, jak sam wypadek.

Zimne i obojętne pożycie Zygmunta Augusta z żoną, po połączeniu się w Brześciu, trwało zaledwie rok jeden niespełna, gdyż młoda królowa zmarła na chorobę piersiową w Czerwcu 1545 roku. Może być, że zarody tej choroby, na które z pewnością nie omieszkała zwrócić uwagi syna królowa Bona, były powodem wstrętu Zygmunta Augusta do młodej małżonki.

Tak zakończyła króciutką swą rolę w dziejach naszych Elżbieta austryacka, ofiara matrymonialnej polityki swej rodziny, wpędzona do grobu prześladowaniem teściowej i oziębłością męża. Żałowano jej powszechnie i przez rok cały modlono się za jej duszę po wszystkich kościołach, zarówno Węgier jak Polski. Elżbieta przez dwa tylko lata niespełna, nosiła tytuł królowej polskiej i była jedyną w dziejach naszych królową nie koronowaną, a nawet żoną króla nie panującego, bo noszącego tylko tytuł królewski. Późniejsze małżonki Zygmunta Augusta nie miały być szczęśliwszemi od Elżbiety: ani Barbara Radziwiłłówna, druga ofiara Bony, podobno przez nią otruta, ani arcyksiężniczka Katarzyna, siostra Elżbiety, którą później Ferdynand, pomimo smutnego doświadczenia z pierwszą, zgodził się dać w trzecie małżeństwo Zygmuntowi Augustowi.

SEN.

Usnąłem... Dusza cierpiąca boleśnie,
Leciała cicho w krainę zaświatów,
Spałem tak długo i widziałem we śnie
Mój dom rodzinny, pośród drzew i kwiatów.

O! niewiadoma ta radość nikomu,
Jaką podówczas serce me wezbrało,
Tyś była panią wśród mojego domu...
Słońce się skryło, a mnie się zdawało,
Że słońce po to skryło się za chmurę,
Iż w obec ciebie było za ponure,
Że twej jasności tobie zazdrościło,
I że dlatego za chmurę się skryło...

Rumieniec szczęścia krasił lica twoje,
Radością błysły czarne oczy duże,
A wkoło kwitły lilije i powoje
A wkoło kwitły białe bzy i róże...
Tyś mi mówiła, że przy mnie i ze mną,
Pójdziesz przez życie z ufnością i wiarą,
Że w mej miłości—będziesz mi wzajemną,
Lecz to snem było, lecz to było marą!

Wiosenna burza szalała na niebie,
Biły pioruny, lśniły błyskawice,
A ja ramieniem otoczyłem ciebie,
Rozpromienione, czarowne źrenice

Oczu twych, w moje spoglądały oczy,
A tyle szczęścia w twych oczach świeciło,
Usta twe uśmiech zdobił tak uroczy,
Że gdyby wieki cierpieć trzeba było,
Cierpieć bez granic... piekielne cierpienia
Zniósłbym za chwilę takiego spojrzenia.

Bo czem boleści, męki i katusze,
W obec chwil szczęścia, co rozświeca duszę,
Wziętemi z niebios promieńmi jasnemi,
Krzepi miłością, nadzieją i wiarą.
Czy takie szczęście możebne na ziemi?
Moje?!... Snem było, urojoną marą!...

Jowita.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dokończenie.)

XII.

Alfred zniknął bez wieści.

Ciekawi dopytywali się gdzieby był, ale dowiedzieć się nie mogli. Rządzca majątku wiedział naturalnie dokładnie, kędy się jego pan obraca, bo wysełał pieniądze, lecz dla innych pozostało to tajemnicą. Nawet Włodzimierzowie nie mogli nikogo objaśnić.

Alfred nie pożegnał siostry, nie pisywał do niej, więc nie chcieli zapytywać rządzcy. Pominięci, zapomniani, nie chcieli dopuścić się natrętwa, chociaż siostra miała do tego prawo.

Helena bolała nad losem brata, którego widziała zgubionym. Znała go bardzo dobrze, cieszyła się przemianą, jaką w nim widziała w czasie pobytu na wsi, wierzyła nawet w możliwość zupełnego odrodzenia się. Dziś... wszystkie nadzieje runęły.

Nie obwiniała nikogo. Niestety, wiedziała aż nadto dobrze, że cała wina była po stronie brata i tem więcej nad tem bolała. Przeczuwała, iż dla zapełnienia próżni życia, rzuci się w wir uciech, rozrywek szalonych, bezmyślnych, lecz chwilowo upajających, zabijających pamięć przeszłości, ale nie dających prawdziwego zadowolenia ani na chwilę. Znała słaby charakter Alfreda i rozumiała to dobrze wrodzonym, kobiecym instynktem, iż po ostatniej katastrofie dźwignięcie się jest prawie niemożliwem.

W okolicy prawiono dziwy o pojedynku. Byli tacy, którzy wprost pomawiali Alfreda o szał, bezprzytomność. Sekundanci zaprzeczali, bo szło o ich honor, lecz nie na wiele się to zdało. Ten i ów widział wzrok obłąkany Alfreda i mówił, że chyba pojedynkując się nie miał zdrowych zmysłów.

Wilski cierpiał z tego powodu wiele, lecz otaczał go powszechny szacunek i przyjaźń ludzi prawych, poważnych. Włodzimierzowie bywali u Milskich, jak dawniej, czem wielce się przyczynili do uprzyjemnienia im chwil przykrych.

Zofia nigdy nie wspominała przed Heleną o Alfredzie. Dla obu wspomnienie to musiało być przykre.

Piękna narzeczona Wilskiego nie potrzebowała walczyć z wyrzutami sumienia. W całej tej sprawie była niewinną, nie dała najmniejszego powodu do wzbudzenia miłości w Alfredzie, a jednak tylko ona była przyczyną katastrofy. Cóż była winną, że jej Bóg dał urodę i powab, któremu słaby charakter zbłąkanego człowieka nie mógł się oprzeć. Dla innego jej pierścionek zaręczynowy byłby dostatecznym hamulcem uczucia, czy fantazyi — dla Alfreda zapora ta była za słabą.

Może ludzie mieli słuszność, posądzając go o obłąkanie.

Panna Zofia zbyt jeszcze była młoda, ażeby mogła zrozumieć charakter Alfreda, ażeby potrafiła przewidzieć los jego i przyszłość. Nie widziała żadnego dla niego niebezpieczeństwa, a może nawet nie myślała o tem. Wszakże była zajęta chorobą swego narzeczonego, a myśl taka nie dopuszczała żadnej innej.

W dworku Włodzimierzostwa posmutniało od wyjazdu Alfreda. Młodzi małżonkowie rzadko o nim wspominali, lecz myśleli często, Helenę niepokoił brak wiadomości od brata, spodziewała się jej ciągle, lecz upływały miesiące, ba nawet lata, a wieść nie przybywała.

Włodzimierz raz tylko dowiedział się czegoś o Alfredzie.

W powiatowem mieście zaciągnięto do ksiąg hipotecznych dość spory dług na majątek Zagórskiego. Sprawę tę załatwił rządzca, mający pełnomocnictwo świeżo podpisane przez Alfreda—w Paryżu.

Wiadomość ta bardzo Włodzimierza dotknęła, lecz nie zdradził się ani słowem. Nawet przed żoną nic nie wspomniał. Jakakolwiek bądź uwaga z jego strony, mogła być źle tłomaczoną przez ludzi. Mogli go pomówić o chciwość. Alfred był bezdzietnym, a jedynym spadkobiercą była Helena. Mąż jej nie chciał nawet wiedzieć o majątku szwagra.

Tak upłynęło lat kilka.

Wreszcie otrzymała Helena list z Paryża.

„Nie tłomaczę się nawet dlaczego tak długo nie pisałem. Ty mnie zrozumiesz. Byłem zbyt słabym, ażeby wypłynąć na wierzch życia — więc tonąłem co dnia głębiej i dziś już zupełnie na dnie jestem.

„Nie myślcie o mnie, nie sądźcie, bom tego nie wart. Wkrótce pewno skończy się moja wędrówka, a pragnę tego bardzo. Co warte takie życie?

„Czasem zapominam o wszystkiem, zapominam o sobie, bo mnie ogarnia szał jakiś. Piję, gram w karty, robię to wszystko, co robią ludzie bez jasnego celu w życiu. Potem opanowywa mnie ból dziwny, którego pokonać ani uśmierzyć nie umiem. Wtedy, droga moja Helenko, żal mi życia zmarnowanego. Wtedy przypominam sobie nasz dworek, rodziców i ciebie...

„O, żebyś ty wiedziała, jak taka myśl strasznie boli!...

„Ale nie mówmy o tem. Żyłem sztucznie, goniąc złudne mary. Kto inny na mojem miejscu, byłby sobie wytknął drogę prostą, byłby został bardzo porządnym człowiekiem. Ja zdeptałem wszystko, co mi ludzie ofiarowali najlepszego.

„Przebacz mi, droga moja, zawiniłem i przeciwko tobie wiele... przebacz, bom dziś bardzo biedny i może to ostatni list piszę...

„Proś, aby mi Wilski i jego żona przebaczyli... byłem szalony...

„Wspomnijcie czasem o mnie, lecz tylko jak o umarłym, bo jeśli na prawdę nie umrę, to i tak do żyjących mnie liczyć nie można...”

Włodzimierz wszedł cicho do pokoju i zastał żonę z listem w ręku, zapłakaną. Nie pytał o przyczynę łez; domyślił się jej odrazu. Stał długo, wpatrzony, potem zbliżył się do Heleny, ujął ją w ramiona, do piersi przycisnął i złożył gorący pocałunek na bladem czole.

Ona tuliła się do niego, jakby w objęciu tych silnych ramion szukała podpory i siły do zniesienia smutku. Po chwili piersi jej wezbrane łzami odezwały się łkaniem.

Mąż nic nie mówił, trzymał żonę w uścisku, czekał, aż się wypłacze.

Gdy się nieco uspokoiła, odezwała się cicho:

— Mój Włodziu, pojedziemy...

Utkwił w niej wzrok, który był tak wymowny, iż słów nawet nie było potrzeba.

— Wszak pojedziemy, prawda?

— Kiedy tylko zechcesz.

Włodzimierz poszedł do swego pokoju, przygotować się do podróży, nie pytając nawet żony, dokąd mają jechać.

Dopiero wieczorem opowiedziała mu wszystko, list dała do przeczytania.

— On musi być chory — mówiła do męża—powinniśmy być przy nim, może nasza obecność zdoła go ocalić.

— Jakaś ty dobra...

Łzy nie pozwoliły jej mówić.

Stary Chodecki, dowiedziawszy się o zamiarze synowej, milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Święta kobieta!

— O, przy niej dopiero pojmuje się całą potęgę szczęścia — mówił Włodzimierz z zapałem.

— Przez was i ja jestem szczęśliwy. Jaka to prawda, że szczęście najczęściej jest blizko nas i nie trzeba go szukać za górami.

— Zajmij się tu naszym domem, dziećmi, kochany ojcze — prosił Włodzimierz — nie wiem czy rychło będziemy mogli powrócić.

— Zostań jak długo będzie potrzeba. Nieszczęśliwych nie godzi się opuszczać.

W kilka dni potem wyjechali Chodeccy, zostawiając dom i dzieci na opiece ojca.

Pilno im było, więc tylko dla wypoczynku zatrzymali się pół dnia w Wiedniu i spieszyli dalej. Przybyli do Paryża po dziesiątej wieczór. Helena pod żadnym warunkiem nie chciała czekać do rana, lecz wprost z dworca pojechała do mieszkania brata.

Serce jej biło gwałtownie, gdy wstępowała po schodach, wybitych dywanem. Słychać było tylko szelest jej sukni. Mąż milczał, tylko ramię jej przyciskał silniej, czując, iż towarzyszka jego ze wzruszenia chwieje się.

Na drugiem piętrze zachwyciła powietrza; tchu jej w piersiach brakło. Włodzimierz zadzwonił. Po chwili ukazał się służący i objaśnił, że pana nie ma w domu.

Helena spojrzała na męża.

— Zapewne nie jest chory — rzekł do niej po polsku.

— Cóż zrobimy? — zapytała.

— Pojedziemy do hotelu.

— Ale przyjedziemy tu później?

— Kiedy pan powróci? — zapytał Włodzimierz służącego.

— Nie wiem, zapewne późno.

— Trudno go będzie dziś zobaczyć —rzekł Chodecki do żony.

— Chciałabym koniecznie.

Służący snać domyślił się, iż ci państwo radziby jego pana zobaczyć, więc zapytał:

— Czy państwo mają pilny interes?

— Jestem siostrą pana Zagórskiego — rzekła Helena.

— Ah... wiem, z Polski. Pan wspominał; ja sam oddawałem list do pani. Pan bardzo się ucieszy.

— Powiedz panu — odezwał się Włodzimierz— jeśli rychlej wróci, żeśmy przyjechali i dziś jeszcze raz tu przyjdziemy.

— Bogu dzięki — mówiła Helena schodząc — że Alfred nie chory; obawiałam się tego.

— Więc możeby lepiej było, gdybyś się zaraz położyła i jutro dopiero odwiedzilibyśmy go.

— O, nie, mój drogi, chcę go widzieć jaknajrychlej.

W hotelu zjedli kolacyą, przebrali się i jeszcze przed dwunastą przybyli do mieszkania Alfreda. Nie było go w domu, służący prosił, ażeby poczekali, a pan niezawodnie rychło wróci.

Usiedli tedy w pięknie urządzonym saloniku, ale jakoś nie wiedzieli o czem mówić. Oglądali albumy, obrazy, książki i nieznacznie spoglądali na zegar. Kwadrans po kwadransie upływał a Alfred nie wracał.

Znużenie i smutek ogarniały Helenę, lecz nie chciała się z tem zwierzać przed mężem. On ją i bez tego rozumiał.

Zegar kominkowy wydzwonił godzinę drugą.

Włodzimierz wstał.

— Chodźmy — rzekł. — Tu widocznie ludzie inaczej żyją, aniżeli u nas. Idą spać nad ranem, wstają przed wieczorem. Tyś zmęczona...

Nie opierała się już teraz. Zbliżyli się do drzwi, gdy je ktoś z drugiej strony otworzył.

Alfred stanął przed swymi gośćmi.

Stał tak przez chwilę, potem kapelusz cisnął na podłogę i rzucił się w objęcia siostry.

Jej łzy puściły się z oczu. Nie mogła słowa przemówić.

Czuł gwałtowne bicie jej serca i tulił ją do siebie tak szczerze, tak gorąco, jak może nigdy w życiu.

Wreszcie ocknął się; uściskał Włodzimierza i prosił, ażeby usiedli.

— Przepraszam was najmocniej, nie przeczuwałem podobnej niespodzianki... zabawiłem się...

— To nic — mówiła Helena — dobrze, żeś zdrów... obawiałam się..

Machnął ręką, nic nie mówiąc.

Był bardzo szczupły, policzki miał zapadłe, żółto-blade i tylko dwa wypieczone rumieńce na nich się odbiły. Oczy zapadłe paliły się dziwnym, gorączkowym ogniem. Od stroju frakowego odbijała twarz jego rażąco.

Usiedli przy kominku.

Brat i siostra wpatrywali się w siebie.

— Jakaś ty dobra, Helenko moja... ale czy to było warto tak się trudzić...

— Nie mów tak... — przerwała mu.

— Kiedyż przyjechaliście?

— Dziś wieczór.

— Ah! i nie czekałaś do jutra!

— Czyż cię to dziwi?

Zaczął ją całować po rękach.

— Moja droga Helo... — szeptał.

Płomień oczu przygasł, rumieńce zbladły, a twarz wypiękniała. Opuścił głowę na piersi. Oddech miał krótki, przerywany, nieregularny. Pierś podnosiła się coraz gwałtowniej, wreszcie nie mógł stłumić kaszlu.

Suchy kaszel, jak łoskot wydobywał się z piersi. Na twarzy odbiło się wielkie cierpienie.

Helena ujęła brata za rękę i pełnem współczucia spojrzeniem mówiła, ile sama cierpi.

Alfred dotknął dzwonka. Zjawił się służący.

— Daj-no wina.

— Może ci to zaszkodzi? — zapytała troskliwie siostra.

— Nie, nie, uśmierza ból nieznośny. To jedyne lekarstwo.

W miarę jak pił silne, stare wino, ożywiał się i rozmawiał, jakby zdrów był zupełnie. Śmiał się nawet i żartował.

Helena na wesołość zdobyć się nie mogła.

Późno już było bardzo, gdy odezwała się:

— Pójdź spać, Alfredzie, tobie spoczynek jest potrzebny.

Uśmiechnął się.

— Ba, gdybym mógł spać!

— Więc nie sypiasz?

— Noc jest moim zaciętym wrogiem. Nienawidzę jej. Śpię dopiero rano; w nocy szukam rozrywki, bo muszę, nie wiem co z czasem zrobić. Ale położę się. Idźcie już; wam potrzebny spoczynek. Do widzenia jutro, a raczej dziś... tylko nie zbyt rano. U nas życie rozpoczyna się dopiero od pierwszej.

Pożegnali się, wszyscy smutni.

Pomimo znużenia podróżą, przepędziła Helena resztę nocy bezsennie. Włodzimierz spał krótko.

Rano przy herbacie, po długiem milczeniu, odezwała się Helena:

— Całą noc myślałam o Alfredzie i muszę zasięgnąć twej rady co do pewnego projektu.

— Mów, moje dziecię.

— Czyby nie było dobrze wziąć Alfreda do nas?...

— Może wspomnienia źle na niego oddziałają?

— Nie sądzę. Otoczenie ciche, spokojne, wiejskie powietrze, mogą go uratować.

Włodzimierz smutnie poruszył głową.

— Nie masz nadziei? — zapytała.

— Szczerze wyznaję, że nie.

Łzy zasłoniły jej oczy.

— Niechże bodaj ostatnie chwile jego życia, będą wolne od tego gwaru, który wywołuje gorączkę, podnieca znikające życie, aby tem prędzej dobić...

O pierwszej przyszli do Alfreda.

Był strasznie znękany. Wyglądał, jakby już życia w nim nie było. Widok siostry ożywił go trochę. Całował ją po rękach i uśmiechał się.

Zjedli razem śniadanie, podczas którego Alfred popijał tylko stare wino. Suchy kaszel rozrywał mu piersi, ale usiłował go stłumić. Palił mocne cygara, a na zapytanie siostry, czy mu to nie szkodzi, odpowiedział z uśmiechem:

— O, nie, mnie tylko rzeczy słabe, mdłe szkodzą. Cygara sprawiają wielką ulgę.

— Ale nie leczą...

— Owszem, leczą bardzo skutecznie...

Zrozumiała go. Dla chwilowego uśmierzenia bólu skracał dobrowolnie życie.

Rozruszał się trochę, rozgadał i pierwszy raz zapytał o dom i dzieci siostry.

— Zdrowe, bardzo dobrze się chowają. Józio do ojca podobny...

— To dobrze—rzekł Alfred z westchnieniem.— Wychowując dzieci pamiętajcie o mnie... niech Bóg broni, ażeby które do mnie było podobne.

Włodzimierz ujął mówiącego za rękę, przyciągnął go ku sobie, ucałował w zimne czoło i rzekł cicho:

— Daj pokój.

Po śniadaniu, wyjawiła Helena bratu swój zamiar zabrania go na wieś.

Oczy zapaliły mu się radosnym blaskiem. Ujął ją w pół, do zapadłej piersi przycisnął i zapłakał głośno.

— Niech ci Bóg zapłaci błogosławieństwem za twe serce... pamiętałaś o mnie, kiedym ja o tobie zapomniał zupełnie, stałem się niegodnym niczyjej miłości i szacunku. Dobrze, pojadę, raz jeszcze odetchnę tem świeżem, rodzinnem powietrzem, zobaczę nasz dworek, wśród wspomnień o latach dziecięcych umrę spokojniej...

— Bracie drogi...

— Daj pokój, Helenko, sama widzisz, żem już nad grobem... Jedźmy, jedźmy jak najprędzej; mnie tu duszno strasznie... upijam się, ale cierpię okropnie...

Nie pozwolili mu dalej mówić.

W trzy dni potem ruszyli ku domowi.

Alfred wymógł na siostrze, że mu pozwoliła zamieszkać w Strzałkowie.

— Chcę cię mieć przy sobie — mówiła siostra.

— To tak blizko, będziemy prawie razem... ale mnie Strzałków potrzebny. Tam w ciszy, samotności będę śnił rozkosznie... Rachunek z przeszłością już skończony... ale chcę ostatnie dnie życia spędzić tam, gdzie mi ubiegły jedyne szczęśliwe lata... dziecięctwa i młodości.

Stary Chodecki wyjechał na stacyę kolei. Alfreda ucałował jak syna. Kiedy mu za tę serdeczność Włodzimierz dziękował, rzekł:

— Na nieszczęśliwych gniewać się nie można, wszystko się im przebacza... a on bardzo jest nieszczęśliwy.

Dwa dni ledwo zabawił Alfred u siostry. Tymczasem zaprowadzano porządek w Strzałkowie. Pilno mu tam było.

Co dnia jeździł rano do Włodzimierzów, po obiedzie odwozili go, zostając najczęściej, aż do wieczora. Zdawało się, że Alfred lepiej wygląda. Był spokojny i często uśmiechał się.

* * *

Był wieczór cichy, majowy. Świeża woń kwiatów płynęła na fali lekko poruszającego się powietrza, którego tchnienie pobudzało do życia, krzepiło znękanych długą zimą: ziemię, przyrodę i ludzi.

Chłód nieznaczny, orzeźwiający, przewiewał po nad pola, ogrody i łąki; po jasnem niebie posuwał się księżyc spokojnie, jednostajnie. Promienie jego, jak snopy jasne, zsuwały się na ziemię, kołysały się w wodach, srebrzyły liście drzew, przemykały się pomiędzy gałęzie, kreśląc na trawnikach i ścieżkach białe arabeski.

W ogrodzie Strzałkowskim pełno było kwiecia i woni; aleje zacieniły się grubem poszyciem liści, słowik śpiewał gdzieś w odległej gęstwinie, zresztą cisza panowała wielka.

Naprzeciwko werandy, na brzozowej ławce siedziało dwoje ludzi.

Był to Alfred i Helena. Ona w niego wpatrzona słuchała uważnie, on z głową pochyloną na piersi opowiadał z wolna, cicho. Czasem tylko głowę podnosił i wtedy oddech zamierający słychać było wyraźnie.

— Najlepszą myśl ludzie wykoszlawili. Oddanie mnie do szkół mogło i powinno było być prawdziwem dobrodziejstwem... ale kierowała mną rę-

ka kobiety... ciotki... Po co ci mówić o niej, znasz ją dobrze. Zwichnąłem się po raz pierwszy w jej domu. Kto inny byłby się potem dźwignął... ja nie mogłem, bo wypaczony rzuciłem się w świat i po raz drugi padłem ofiarą kobiety. Nie masz nic potężniejszego nad miłość. Uczciwa robi z nas bohaterów, lub przynajmniej ludzi z charakterem silnym, prowadzi na drogę prawą i zacną... Ręka kobiety nieuczciwej popycha do zbrodni, lub znikczemnienia. Moją pierwszą miłością była zalotnica... Kochałem ją prawdziwie, gorąco, szczerze... ona bawiła się mną i ciągnęła zyski, aż dla fantazyi nowej porzuciła... Stało się to wtedy, gdyśmy powracali po śmierci matki. Dla duszy zbolałej był to cios dotkliwy. Odtąd byłem komedyantem życia. Próżność, fałszywa ambicya porwały mnie. Bujałem, jak dzieciak na bystrym rumaku, aż w końcu fatalnie upadłem. Historya mego małżeństwa bardzo pospolita. Ożeniłem się, jak tylu innych, dla ambicyi, stosunków, majątku, piękności żony. Pochlebiało mi, że mnie nad innych przeniosła. Ani ona, ani ja nie byliśmy szczęśliwymi...

Pierś podnosiła się gwałtownie, tchu w niej na chwilę zabrakło.

— Nie mów o tem, to cię zbyt wzrusza, męczy...

— O, nie. Dawno już nawykłem do tego jedynego tematu rozmyślań. Oswoiłem się ze smutną historyą mego życia. Była chwila, gdy mi się zdawało, że to tylko dzieje przeszłości, że jeszcze przyszłość istnieje przedemną... Byłem szalony... kradzieżą chciałem sobie zdobyć szczęście...

Miał łzy w oczach. Znowu głowę zwiesił i zamilkł.

— Pamiętaj — rzekł po chwili — wykorzeniać w twych dzieciach pragnienia fałszywej wielkości, które w gruncie są tylko egoizmem. A nadewszystko strzeż ich, dopóki nie staną się prawdziwymi ludźmi, od zetknięcia się z warstwami innych obyczajów, innych pojęć i wymagań. Tam najwięcej trucizny dla tych, którzy w dziecięctwie czem innem byli otoczeni. A potem... kiedy serce się obudzi, ucz jak się kochać powinno i kogo kochać można...

Nie mógł dłużej mówić. Tylko jeszcze cichy, urywany szept splatał się w słowa: niebieski pokoik... ona... tam życie straciłem...

Długo nic nie mówił. Siostra milczenia przerywać nie chciała.

Później przyjechał Włodzimierz z ojcem.

Zrazu było widocznem, że Alfred do rozmowy się przymuszał, zwalczał znękanie, chciał się koniecznie ożywić. Później rozgadał się, uśmiechał i żartował, najwięcej ze starym Chodeckim. Proponował mu, ażeby się razem wybrali na polowanie... z chartami... przy księżycu.

— Jak żyję nie polowałem w nocy! — zawołał Chodecki.

— Ba, ba — śmiał się Alfred — w dzień to każdy potrafi, to nie żadna sztuka. Ot choćby zaraz ruszyć w pole jestem gotów.

— A cóżbyś upolował?

— Kury, śpiące we wsi na drzewach.

Ciągle coś nowego wymyślał i śmiał się nawet z kaszlu, który mu dokuczał.

Siostra spoglądała ze smutkiem na Alfreda. Przeczuwała, że dnie jego są policzone.

Alfred zatrzymywał swych gości. Nie chciał się przyznać, że lękał się długiej, bezsennej nocy.

Żegnał ich z uśmiechem, żartując, że śpiochy i dlatego tak im pilno do domu.

W parę dni później opuściły Alfreda siły zupełnie. Chodzić nie mógł.

Siostra nie odstępowała go.

Był spokojny, lecz znać było, że lampa życia gaśnie.

W nocy czuwała Helena przy łożu chorego. Usnął i przez sen uśmiechał się. Księżyc wpadł do pokoju, srebrząc sprzęty i ściany. Bladem światłem oblał bladą twarz Alfreda. Helena patrzała przez łzy. Alfred spał bardzo długo.

Dotknęła jego ręki, spoczywającej na kołdrze. Była zimna. Usta przytuliła do czoła... zimne jak lód.

Nie płakała... Uklękła przy łóżku i modliła się sama jedna do rana. Nie chciała budzić służby, nie chciała świadków. Klęczała nieruchomo, jakby jej dusza poleciała ku niebu, błagając o miłosierdzie dla nieszczęśliwego, który fizycznie przestał już cierpieć.

W testamencie, napisanym na kilka dni przed śmiercią, była wymieniona znaczna suma dla *nieszczęśliwych*.

Nad mogiłą płakało wielu. Zofia Wilska łzy miała w oczach. Jak siostra zbliżyła się do Heleny i długo ją trzymała w uścisku. Stary Chodecki szlochał głośno i potem co wieczora modlił się:

Panie! miej zmiłowanie nad duszą nieszczęśliwego, a innych chroń od podobnej doli.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE (*)

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

Bronisławie i Maryi
córkom moim
poświęcam.

Zamek w Wiśniczu.

Opowiadanie nasze i osoby w niem działające, zajmują epokę najświetniejszą Polski. Majestat sławy, znaczenia, uczoności, zajaśniał za Zygmunta Starego i jego syna. Cała Słowiańszczyzna kupiła się obok tronu Jagiellonów. W Czechach i Węgrzech, z ich krwi obierali królów. Multany, Wołoszczyzna i wielu hołdowniczych książąt, rządzeni byli polską polityką. Była to epoka w której trzej wielcy monarchowie dzierżyli w swym ręku losy Europy: Karol V w Niemczech, Franciszek I we Francyi, a Zygmunt I w Polsce.

Pierwsi dwaj zajęci ciągle wojnami, dbali najbardziej o sławę oręża, nasz Zygmunt władający obszernem państwem, chciał je utrzymać w porządku; nie godząc na cudzą własność, dążył do podniesienia kraju w bogactwie, znaczeniu, oświacie i do ustalenia jednolitego prawodawstwa. Nagrodą jego była miłość narodu, to uczucie jednało zwaśnionych panów, łagodziło burzliwą szlachtę i podnosiło powagę królewskiego majestatu. Spółeczność ówczesna go kochała, a potomność uwielbia. Naprożno jeden z dzisiejszych historyków, odejmując mu wszelkie zasługi, nazywa go *pocziwcem*, kraj który przez trzy wieki czcił go jako ojca narodu, dbałego o jego potęgę, spokój i oświatę, osobistą obelgą nie zdoła zaćmić sławy monarchy, którego głos nietylko był słuchany w ojczyznie, ale i ościenni królowie, polegając na jego światłym sądzie, używali go jako rozjemcę swoich sporów.

W owej epoce, Polska i Włochy co do oświaty i poloru przodują innym narodom. Z cel klasztornych, z łona duchowieństwa, oświata rozlewa się na świeckich przedstawicieli narodu. Język polski zaczyna się oswobadzać z więzów uczonej łaciny. Upowszechnienie druku, rozrzuca myśli zamknięte dotąd w rzadkich rękopismach. Król i panowie garną do siebie zdolniejszą młodzież. Wszędzie ruch się objawia, tak w życiu politycznem, jak i umysłowem i nie napróżno wiek ostatnich Jagiellonów, nazwano *wiekiem złotym*. Szczęśliwe to były czasy, któremi każdy z nas chlubić się może. Rozpowszechnienie oświaty zajmowało wszystkie umysły, Akademia krakowska wykształciła ludzi znakomitych w naukach, sława wszechnicy rozeszła się po Europie i mnóstwo cudzoziemców kształciło się w jej murach. Królowie uprawiali nauki, Zygmunt I zbierał księgi i rzadkie rękopisma z Włoch sprowadzał, Wilno obdarzył biblioteką, syn ją powiększył i obdarzył księgami kolegium Jezuitów i kościół św. Anny. Biskupi krakowscy opiekowali się uczonymi i młodzieżą: Tomicki, Samuel Maciejowski, Filip Padniewski, Piotr Myszkowski, również i inni biskupi jak: Lubrański i Korzycki, wiele do współczesnej oświaty się przyczynili. Panowie szli za ich przykładem: Piotr Kmita, Łascy, Oleśniccy, Górkowie w Polsce, Radziwiłłowie na byłej Litwie wysyłali zdolniejszych do akademii zagranicznych i niejeden talent odkrywszy wśród mieszczaństwa lub nawet między gminem, łożyli koszta na ich ukształcenie, a później swoją protekcyą uzyskiwali dla nich koronne dostojeństwa i przysparzali krajowi mężów, którzy wysokiemi zdolnościami i głębokim rozumem w kraju jaśnieli. Takimi byli: Dantyszek, Hozius, Kromer, Nidecki, Husowiusz, Janicki, Szymon Marycki i wielu innych. Dany ów popęd za Zygmunta I przetrwał przez wieki, w żadnym narodzie nie było tylu mecenasów jak w Polsce. Możni panowie byli przyrodzonymi opiekunami nauk i młodzieży.

Pośród nich w owym czasie jaśniał ród Kmitów. Sięga on jeszcze epoki Piastowskiej. Kazimierz Wielki nadał Kmicie zamek Sobin pod Sanokiem, a z nim cały brzeg Sanu. Władysław Jagiełło w 1417 roku, wracając z Felsztyna od Herburtów, spoczywał u Kmity w Sobinie. Kmitowie od bardzo dawna posiadali zamek i dobra Wiśnickie. W roku 1374, Jaśko starosta sieradzki, później krakowski, poległ w bitwie z Węgrami, bracia i krewni mszcząc się śmierci Jaśka, przez długi czas trapili Węgrów, królowa Elżbieta, matka Ludwika, chcąc zwaśnione pogodzić umysły, synowi Jaśka nadała starostwo łęczyckie. Przez wiek cały ród ten wzrastał w bogactwo i dostojeństwa.

Stanisław, syn Dobiesława, pana na Sanoku, Dobiecku, Bucharze, Babińcach, Brzuszu, Sufczynie i Ruszelczycach, kasztelan przemyski, później wojewoda Bełzki, nakoniec krakowski, ożeniony był z Katarzyną Tarnowską, siostrą przy-

(*) Opowiadanie to, osnute na wzmiankach historycznych o Janickim, z dzieł jego własnych i z rozprawy Aleksandra hr. Krasickiego: O Kmitach, Szreniawitach, szczegóły wzięte z biblioteki Ossolińskich.

rodnią Jana Tarnowskiego, miał z nią córkę Katarzynę, wydaną za Stadnickiego kasztelana sanockiego; ztąd Dubiecko przeszło w dom Stadnickich, druga zaś córka wyszła za Barzego Korczaka na Błozwi, oraz dwóch synów: Piotra i Stanisława, którzy odznaczyli się w bitwach pod Wiśniczem 1512 roku i pod Orszą 1515 roku. Stanisław umarł bezdzietny, Piotr urodzony w 1477 roku, pan na Wiśniczu, w czasie naszego opowiadania był wojewodą, marszałkiem wielkokoronnym, starostą krakowskim, przemyskim, spiskim i kolskim.

Charakterystyka ówczesnych u nas zamków różniła się wielce od feodalnych zamków frankońskich i niemieckich. Tam kraj był podzielony na drobne baronie, dzierżone przez panów z nieograniczoną władzą; ci otoczeni rycerskimi, lecz awanturniczymi sąsiadami, dbając o swe bezpieczeństwo, musieli wznosić po górach obronne gmachy, które odstręczały nieprzyjaciół a trzymały w uległości lud i wasalów. U nas, gdzie wojny domowe były nieznane, gdzie lękano się tylko napadu Tatarów, fortyfikacya zasadzała się na fosach i wałach, bo te były dostateczne na wstrzymanie barbarzyńskiej dziczy. Ale sam zamek bywał wspaniały i obszerny. W Wiśniczu środek gmachu zajmowały pańskie komnaty, ogromne sale dla uczczenia i przyjęcia gości, pomieszkania dla rezydentów, którzy pokrewieństwem lub przyjaźnią ojców połączeni byli z właścicielem zamku. W rogu kaplica, dalej ciągnęły się dwa skrzydła: w jednem mieścili się protegowani pańscy, kształcąca się młodzież i uczeni: w drugiem liczni dworzanie i marszałek dworu. Naprzeciw obszerny budynek da przybywającej drobniejszej szlachty.

Zamek Wiśnicki na Czerwonej Rusi, ze starego gmachu był przerobiony, upiększony i ufortyfikowany przez obecnego dziedzica tych włości, Piotra Kmitę, marszałka wielkokoronnego i wojewodę krakowskiego, dwie mniejsze i dwie większe wieże go zdobiły. Wały i rowy strzegły od najazdów, a strzelnice z haubicami opatrzone i kilka armatek, uczyniły zamek zupełnie bezpiecznym, a nawet mogącym śmiało się oprzéć tatarskim napadom. Wewnątrz było dworno i ludno, ruch nigdy nie ustawał, trąbka z wieży zwoływała o dziesiątej godzinie na wspólne wieczorne modlitwy, później następowała cisza, bo marszałek dworu, Wydżga, były rotmistrz pułku księcia Konstantego Ostrogskiego, pilnie przestrzegał, aby każdy po tej godzinie wczasu używał: klucznik zamykał główne drzwi zamku, po wałach rozstawiano straże, światła po oknach gasły i następowała iście klasztorna cisza.

W jednem tylko skrzydle, w dwóch oknach błyszczało jeszcze światełko. Marszałek Wydżga obok nich przechodząc, codziennie burczał i gniewnie ruszał ramionami, bo wojewoda zabronił mu przynaglać dwóch tam zamieszkałych lokatorów do gaszenia światła. Gniewało go mocno to wyłamywanie się z pod ogólnego prawidła, gdyż uważał, że każdy wyjątek jest *abusum*, sprowadzające nieporządek i usuwanie się z pod niezbędnej karności. Kalasanty Wydżga był *bene natus et possesionatus*, młodość swoją przepędził w pancerzu, służąc pod hetmanem Firlejem i walcząc przeciw Glińskiemu, później, wraz z księciem Konstantym Ostrogskim; pod Orszą przyczynił się do chlubnego zwycięztwa. Lubił rozprawiać o wypadkach wojennych, które ubarwiał anegdotkami, trudnemi do uwierzenia, lecz choć bożyszczem jego był książę Ostrogski, zwykle temi słowy kończył swe opowiadania: „Gdyby był książę posłuchał mej rady, Smoleńsk byłby zdobyty". Gdy go zapytywano, czemu się nie ożenił, odpowiadał: „Nie miałem czasu". Gdy mu zarzucano, że mając niezłą wioszczynę, trzyma się pańskiej klamki, oburzał się i z gniewem odpowiadał:

— Szlachcic tylko Bogu i ojczyznie służy. Nie jestem najemnikiem, ani służalcem wojewody. Wszyscy jesteśmy sobie bracią. Wydżgowie nie ustępują Kmitom, submituję moje usługi nie jemu, lecz marszałkowi wielkokoronnemu i wojewodzie krakowskiemu. Będąc przy dygnitarzu Korony, jestem zawsze członkiem naszej Rzeczypospolitej, bo dwór jest dla starszych almą polityki, a dla młodszych szkołą życia.

Takie dawniej przekonania miała szlachta o pańskich dworach, bo w nich skupiał się cały ruch Rzeczypospolitej. Życie polityczne i umysłowe zbierało się tam i rozwijało.

Nie dziw więc, że szlachta umieszczała swe dzieci przy dworach: było to dokończeniem wychowania. Po naukach szkolnych, młodzież potrzebowała poloru, obeznania się ze sprawami Rzeczypospolitej, zawiązania stosunków; wszystko to na dworach pańskich znajdowała, a gdy zdolności okazały się w młodzieńcu, czy umysłowe, czy polityczne, czy rycerskie, do rozwinięcia onych pan szczodrobliwością swoją przyczyniał się i dopomagał. Trzeba zauważyć, że u nas nie sam ród, ale dygnitarstwa tworzyły panów; brak osobistych zdolności strącał ich znowu w szlachecką sferę. Nie potęgą krwi zatem, ale wyższością umysłową i ciągłą ofiarnością dla kraju, zaszczytne miano pana się zdobywało. Gdy dzisiaj kasty nienawistnie patrzą ku sobie, dawne dwory pańskie wszystkich jednoczyły, a bogactwa otrzymane szczodrobliwością rzeczypospolitej, hojnością pańską na uboższą szlachtę się rozlewały. Dwory kształciły młodzież, zasłużonym wyjednywały posady, ciągłą opieką ujmowały młodszych braci, przez co ich wdzięczność i przychylność pozyskiwały. Nie jurgelt najemniczy, lecz węzeł moralny łączył pana ze szlachtą. Nie dziw, że głos jego był słuchany i gdy kraj potrzebował pomocy, liczne szeregi szlachty skupiały się pod jego sztandarem, a on sam wiódł je na obronę ojczyzny.

Pan Kalasanty Wydżga, choć północ na zegarze zamkowym wybiła, nie usnął jeszcze, ciągle spoglądał na dwa oświetlone okna; oddawna byłby kazał światła te pogasić, gdyby nie wyraźny rozkaz wojewody, wzbraniający mu tego, na czem godność jego marszałkowska wielce cierpiała. Dopiero gdy ujrzał że światełka zgasły, rzucił się na łoże, mówiąc:

— Nie darmo godłem Minerwy sowa i ci panowie uczeni żyją, jak nocne ptaki; dzień im zakrótki, jeszcze i po nocach smarują papier i światło wypalają.

P. Wydżga nie mógł usnąć, póki jedna dusza czuwała w zamku, dopiero gdy cichość zupełna nastała i wszystkie światła pogasły, sam usypiał.

Nazajutrz, gdy ocknął się p. Wydżga i zmówił pacierze przed obrazem Najświętszej Panny, gdy ubrawszy się przystojnie i wziąwszy czekan w rękę, chciał wyruszyć na inspekcyą zamku, wbiegło do izby ładne pacholę i oznajmiło, iż wojewoda przywołuje go do siebie. Nie często taka prywatna audyencya spotykała pana Kalasantego, znaczniejsze tylko zmiany w zamku wywoływały osobiste stawienie się, bo wszystkie rozporządzenia pana Wydżgi zwykł był wojewoda potwierdzać. Szedł więc trochę zaniepokojony, gubiąc się w domysłach, dla jakich rozkazów powołanym został.

P. wojewoda Kmita czekał w swojej komnacie, która była obita wschodniemi makatami; pozawieszane zbroje na ścianach błyszczały drogiemi kamieniami, po stołach stały srebrne szkatuły z kunsztownie wybijanemi mitologicznemi postaciami. Przy łożu konterfekt ojca i matki, nad niemi wielki krzyż ze słoniowej kości, na biórze księgi i papiery, u drzwi zaś na lamparciej skórze leżał ogromny brytan, a nad oknem piękna papuga szczeblowała po hebanowych patykach. Gdy wszedł pan Wydżga, wojewoda wstał z krzesła, kiwnął mu głową i rzekł:

— Jak zdrowie pana rotmistrza?

— Trzymam się jeszcze — odrzekł — na usługi j. w. p. wojewody.

— Wyglądasz jak rydz i gdyby nie ten szram na czole, zdałoby się, że całe życie przesiedziałeś za piecem.

— To, miłościwy wojewodo, pamiątka z pod Orszy i gdyby książę Ostrogski posłuchał był mojej rady, Smoleńsk zostałby zdobyty.

— Uspokój się, mości Wydżga, zdobędziemy go później.

— Lecz ja, j. w. wojewodo, tego nie dożyję, boć gdyby teraz uchwalono wyprawę na Smoleńsk, jeszczebym na koń wskoczył i pomachał moją szerpetyną.

— Taki animusz w twym wieku, mój rotmistrzu, mnie zadziwia, lecz nim pójdziesz na wyprawę, używaj tu spokoju, bo i odpoczynek ci potrzebny.

— Zażyję spokoju w grobie, a teraz dosyć mam zajęcia z łaski j. w. wojewody, lecz i kłopotów nie braknie.

— Cóż tam? czy dworzanie są nieposłuszni, czy może jakie abuza dzieją się w naszym zamku?

— W karności przywykłem wszystkich trzymać, przyzwyczaiłem się do niej w obozie, ale są abuza którym zaradzić nie mogę.

— A to z jakiej przyczyny? — zapytał Kmita.

— Z przyczyny j. w. wojewody.

— Jakto? Ja się mam przyczyniać do jakiegoś nieporządku i niesubordynacyi?

— Z pod mojej władzy wyłączył j. w. wojewoda Klemensa ze Znicza i Szymona z Pilzny, uwolnieni od mego nadzoru mieszają porządek.

Kmita groźnie zapytał:

— Czy postępują przeciw obyczajności?

— Nie, j. w. wojewodo, są skromni i spokojni, ale mają zagraniczne narowy; nie darmo długo przesiadywali we Włoszech: co tam może uchodzić za dobre, u nas zgorszenie przynosi. Gdy po *Angelus* wszyscy do spoczynku się zabierają, oni oświetlają swe izby, wypalają niepotrzebnie światło, a gdy kogut zapieje, dopiero je gaszą.

— Mój rotmistrzu, oni nie izbę ale kraj oświecają, a że obaj dosięgli doktorskiego zaszczytu, oświadcz im ode mnie, iż wolą moją jest, aby odtąd nie do marszałkowskiego, ale do mego stołu przychodzili na obiad i wieczerzę.

— Ależ j. w. wojewodo, wszak ci to nie szlachta.

— Ale nauką, mój Rotmistrzu, uszlachcili swe imię, a postaramy się u króla i sejmu, że zostaną i szlachtą herbową, jaką my jesteśmy.

— Dotąd tylko krwią tej nagrody się dosługiwano.

— A Dantyszek? — odrzekł Kmita — posłując do Wenecyi i do cesarza Maksymiliana, czyż nie otrzymał od niego szlachectwa? A dziś panujący cesarz Karol V, nie uczyniłże go hidalgiem i herbu mu nie nadał?

— Dantyszek, j. w. p. wojewodo, został szlachcicem niemieckim, a nie polskim, a to wielka różni-

ca. U nas szlachta się rodzi a nie tworzy, a jej początku Bóg tylko jest świadomy.

— Ja ci mówię, rotmistrzu, że będą uszlachceni, bo tego są godni i rozkazuję najsurowiej Klemensa ze Znicza nazywać odtąd Janickim, a Szymona z Pilzny Maryckim. I ja coś znaczę w rzeczypospolitej, słowo moje dzisiejsze niech im tymczasem za indygienat służy. Taka moja wola.

Spostrzegł Wydżga, że czoło wojewody się zachmurzyło, co było oznaką, że grom wypaść może, skłonił się w milczeniu i zasępiony wyszedł z komnaty.

Gdy przyszedł do swej izby, ze łzami w oczach spojrzał na szablę, którą miał po ojcu, z którą walczył pod Orszą, zdjął ją z kołka i ująwszy w dłonie zawołał:

— O droga moja spuścizno! godło naszego znaczenia i sławy! już nie krew nieprzyjaciela prowadzić będzie do zaszczytu szlachectwa, lecz brudny inkaust ma zastąpić posokę wroga i zmaczane nim palce mają sięgać po tarczę herbową. Matko Boża! uchowaj ojczyznę naszą od tej sromoty!

Z pochyloną głową długo stał na jednem miejscu, po chwili podniósł rozjaśnione czoło i rzekł:

— Pan wojewoda ma moc, ale i szlachta ma siłę. W senacie przodkują dygnitarze, a na sejmie szlachta... Zobaczymy!...

Nasunął czapkę i z animuszem pochylił ją na bok, podkręcił wąsa, czekanem wywinął w powietrzu i pokrzepiony na duchu udał się na inspekcyą zamku

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Kwietnia 1885 roku.

Kwiecień, jakkolwiek w tym roku niezbyt ciepły, rozwinął jednak tysiące kwiatów na strojach paryżanek. Suknie balowe, całkiem pokryte gałązkami bzu i azalei, bukietami narcyzów i hiacentów; na kapeluszach wznoszą się piramidalne egretki z tulipanów, pączków róż lub jaśminu, parasoliki przybrane odpowiedniemi kwiatami; najmodniejsze wachlarze, tak na wieczór, jak do teatru, złożone całe z bratek, pierwiosnków albo niezapominajek; u trzewików widzimy wiązki fijołków i konwalii. Moda kwiatów tak się rozpowszechniła, że wstążki nawet gazowe, przerabiane jedwabiem w bukieciki, używane dziś do przybrania sukien i kapeluszy, lub na egretki do wpięcia w pośród włosów.

Drugą modę panującą stanowią koronki wełniane w rozmaitych kolorach, zacząwszy od białych i czarnych; widzieliśmy w teatrze suknię z takiej koronki w kolorze wydrowym. Spódnica mocno namarszczona nie miała innego garnirunku, oprócz szlaku przerabianego w koronce. Stanik do tego aksamitny, krótki, w tymże samym kolorze spinał się na rząd guzików z przyczernionego złota *or bruni*. Z pod małego karoczka spadała szarfa morowa, szerokości pół łokciowej, z wielkiemi puklami.

Kapelusze tegoroczne odznaczają się wielką rozmaitością w ozdobach. Kapotki powłóczą zwykle gazą w kolorach ciemnych: wydrowym, mchowym, oliwkowym, przerabianą złotemi nićmi, inne pokrywają koronką czarną w złoty deseń. Używana również na kapotki gaza w pasy, w kolorach nie wydatnych, zwana *gaze Theodora*. Kapelusiki okrągłe mają główkę bardzo wysoką, niekiedy zwężoną w górze, rondko odwinięte *en diademe*, pokryte aksamitem. Wiele z nich opasują szeroką szarfą *Teodora*, z gęstej gazy w poprzeczne pasy. Strojniejsze ubierają kwiatami, codzienne, do wyjścia na ulicę, mają egretkę ze wstążki lub aksamitu.

Przytaczamy tu opis kapeluszy, nabytych na model przez panie Kuhnke, w trzech wielkich magazynach pań: Virot, Lois i Parisot.

Pierwsza kapotka czarna koronkowa, przerabiana złotem, rondko powleczone aksamitem czarnym, tworzy dyadem odwinięty w górę; z po za niego wybiega wielki bukiet z kwiatu jabłoni, a wyżej jeszcze egretka czarna i złota. Szarfy do wiązania ze wstążki czarnej *gros grin*.

Druga kapotka *Teodora*. Główka z gazy szamua w pasy w niewydatnych kolorach. Rondko tworzy dyadem, nagarnirowany złotą gazą. Nad tem bukiet z tulipaników szamua w ponsowe paski, powyżej egretka z ponsowych tulipanów. Szarfy z wstążki szamua.

Trzecia kapotka czarna koronkowa, z główką wysoką, mocno namarszczoną. Rondko w górę podniesione, zakończone w ząb szpiczasty, podgarnirowane gazą ponsową, z wierzchu ronda idzie koronka, przytwierdzona dżetem. Na środku kapelusza wielka kokarda ze wstążki ponsowej aksamitnej, szarfy szerokie, czarne koronkowe.

Czwarta kapotka z cienkiej słomki w kolorze mchowym *mousse*. Rondko podniesione w ząb, podbite złotą gazą. Nad rondem pukle w dwóch kolorach, szarym i mchowym. Od nich spadają szarfy do wiązania. Powyżej kokardy, egretka z blado różowych dzwonków.

Piąta kapotka na rano, ze słomy szeroko plecionej, w naturalnym kolorze; główka średniej wysokości, rondko podwójne, przyfałdowane, wszystko razem powleczone gazą koloru wydrowego *loutre*. W środku po nad rondkiem wysoka kokarda ze wstążki gazowej w tymże samym kolorze, takież końce do wiązania pod brodą.

Przejdźmy teraz do kapeluszy okrągłych; główki u nich wysokie, rondka małe, odwinięte, jak mówiliśmy wyżej, ale obok tych są i kapelusze z szerokiem rondem a główką cokolwiek niższą, właściwe dla osób wysokiego wzrostu. W modelach pań Kuhnke, dwa szczególną odznaczają się oryginalnością. Jeden powleczony cały chusteczką z gęstej gazy indyjskiej, w kolorze szarym *beige* ze szlaczkiem przerabianym w gierlandkę z maleńkich różyczek. Rondko odwinięte jak u toczka, pokryte aksamitem jasno bronzowym. Chusteczka obciągnięta wkoło wysokiej główki w taki sposób, że cztery jej rożki zebrane razem z przodu, tworzą egretkę przepiętą puklami ze wstążki szarej, podniesionemi w górę.

Drugi oryginalny kapelusik z cienkiej słomki, odznacza się szczególnym kolorem zielonym w jasnym odcieniu, podobnym do świeżo rozwiniętych listeczków. Główka u niego szpiczasta, rondko odwinięte, pokryte ciemniejszym aksamitem zielonym. Przez główkę przechodzą od boków końce aksamitne, przewiązane w pośrodku, spadające na tył w formie liści. Z przodu nad rondkiem, wpięta egretka z pączków różanych.

Trzeci kapelusik oliwkowy z cienkiej błyszczącej słomy, ma rondko odwinięte. Pokryte takimże aksamitem, brzegiem idzie wązka plecionka złota. Wkoło główki przekręcany aksamit. Na przodzie upięta wysoka egretka z aksamitu szamua, przytwierdzona dwoma wielkiemi szpilkami złotemi.

Czwarty kapelusik *loutre*: rondko odwinięte powleczone aksamitem tegoż koloru, nad niem wielka kokarda z gazy *Teodora*, w pasy różnokolorowe na tle szarem, z pomiędzy tej kokardy wybiegają w górę dwa złote skrzydła.

Piąty kapelusik czarny słomkowy, ma rondko odwinięte aksamitne czarne, naszyte złotą plecionką. Wkoło wysokiej główki, opasana gaza biała, z przodu wielka egretka, z takiejże gazy, przytwierdzona trzema dżetowemi ptaszkami.

W ogólności, czarne kapelusze słomkowe ubierane białą gazą, należą do najmodniejszych, przeciwnie znów białe słomkowe przybierają czarną gazą albo koronką.

W woalkach tegorocznych widzimy odmianę, noszą je ścięte po bokach, zwężone zupełnie ku tyłowi. Najwięcej widać gazowych, w kolorach bronzowym, granatowym, mchowym, odpowiednio do kapelusza. Przerabiane są drobnemi pacioreczkami, dokoła idą ząbki.

O kołnierzykach nie mamy co powiedzieć, do codziennego ubrania, przyjęte powszechnie małe, stojące, zaledwo że widzialne z pod wysokiego kołnierza od sukni; do większego ubrania, zastępują je pliską wąziuchną z krepy lub tarlatanu. Krawaty za to wielkie zasłaniają cały przód stanika. Panie Kuhnke nabyły dwa ładne modele. Jeden składa się z koronki przeciągniętej wązko dokoła szyi. Naprzód spada szeroka koronka fantastycznie ułożona w pukle i końce nakształt wielkich liści.

Drugi model złożony po prostu, z czworograniastej chusteczki koronkowej, przyfałdowanej jedną stroną do blado różowej wstążeczki, która obwiązuje się wkoło szyi. Przód ozdobiony takąż kokardką.

Czepeczki jak zazwyczaj przypominają formą kapelusze. Uważaliśmy jeden dla starszej osoby, czarny koronkowy. Z przodu szedł dosyć wysoki aksamitny dyadem, ozdobiony puklami z aksamitu i dżetem. Wielki fanszon z końcami, spadał na tył głowy.

Drugi czepeczek z białej koronki, miał nad czołem dyadem ze wstążki w odcieniu śmietankowym, przez wierzch głowy spadała odwracana koronka, przepinana w odstępach kokardami. Śliczny to negliżyk do rannego ubrania.

O modelach sukien letnich, powiemy w przyszłej korespondencyi, dodajemy dziś tylko, że do najmodniejszych tkanin letnich, należy *etamina* czyli kanwa wełniana, w kolorach: szarym, wydrowym lub mchowym. Suknie takie i kostiumy przybierają koronką wełnianą w tymże samym kolorze. Widzimy także kanwę przerabianą w wypukły deseń, w kraty lub w pasy tegoż co tło koloru, zwaną *bouclée*. Z takiej tkaniny czarnej lub ciemnej, noszą płaszczyki do ziemi, otwarte z przodu, podbite marseliną, albo lekkim atłasem czarnym. Płaszczyk taki przystaje do figury, poniżej pleców zdobi go pasmanterya z dżetem, tylne bryty mocno namarszczone. Przód spięty w pasie na agrafę z pasmanteryi, z obu stron od góry do dołu idzie wolant z koronki wełnianej, rękawy rozszerzone u ręki, objęte takąż samą koronką. Od szyi spada kokarda z wstążki atłasowej, złożona z długich pukli i końców.

S. D.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Według podania Zmartwychwstanie Pańskie miało miejsce wkrótce po wiosennem porównaniu dnia z nocą i po przypadłej po tem porównaniu pełni. Ponieważ porównanie owo ma zawsze miejsce 21 marca, zatem pierwsza niedziela po pełni, po porównaniu uważa się za dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Dlatego Wielkanoc nigdy nie może przypaść wcześniej, jak 22 marca, ani później jak 25 kwietnia, a wtedy pełnia Wielkanocna przypada w niedzielę 18 Kwietnia.

Najwcześniejsze święta Wielkiejnocy t. j. 22 Marca obchodzone było w 1598, 1693, 1761 i 1818, a najpóźniejsze t. j. 25 Kwietnia w 1666 i 1754, na przyszłość zaś przypadną w 1886, 1943, 2038, 2190 i t. d. Od dnia 22 do włącznie 25 Kwietnia, jest dni 35, w tych więc różnych dniach przypadać może Wielkanoc.

*** Gazety rosyjskie donoszą, że na zasadzie ogólnej ustawy kolejowej, kobiety mogą zajmować na drogach żelaznych następujące miejsca i posady: kasyerów stacyjnych, urzędników biurowych, buchalterów, telegrafistów, ekspedytorów. Postanowienie to pewnej liczbie kobiet zapewni utrzymanie.

*** Przed udaniem się na wygnanie do Francyi, Heine zwiedził kraj nasz i zamieścił swoje o nim wrażenia w czasopiśmie berlińskiem „Gesellschafter" w formie listów do przyjaciela. W listach tych wypowiada nader trafne i bardzo dla nas sympatyczne zdania swoje o ówczesnem społeczeństwie polskiem. Mówi o chłopach, mieszczaństwie, o żydach, o zamieszkałych tu Niemcach, o ówczesnem usposobieniu umysłów, o teatrze i literaturze polskiej i t. d. Poczem przechodząc do Polek, tak zaczyna:

„A teraz, przyjacielu, uklęknij lub przynajmniej odkryj głowę — bo mówić będę o polskich kobietach. Wlepiam wzrok w niebiosa, a duch mój ulata na wybrzeża Gangesu, szukając tam najcudniejszych, najwonniejszych kwiatów, jakieby z niemi porównać można. Lecz czemże są w obec tych uroczych istot wszelkie magnolije, konwalje, lotusy i najpiękniejsze kwiaty? Gdybym malował jak Rafael, tworzył melodye jak Mozart, przemawiał ognistem słowem Kalderona, może zdołałbym wzbudzić w tobie uczucie, jakiegobyś doświadczył, gdyby Polka, istna nadwiślańska Afrodyte ukazała się twoim zachwyconym oczom.

„Lecz czemże są wszelkie Rafaelowskie płótna, w porównaniu z tą godną ołtarza pięknością, jaką Bóg utworzył w chwili największej dla ziemian łaski? Co znaczą Mozartowskie brzdąkania, w obec dźwięcznego słowa, tej istnej rozkoszy ducha, jakie płyną z jej różowych ustek? Czemże są Kalderonowskie gwiazdy ziemskie i światy niebieskie, w porównaniu z temi uroczemi istotami, które po Kalderońsku nazwane są aniołami ziemi, kiedy dla mnie sami aniołowie są Polkami nieba. O! tak, przyjacielu mój, kto raz spojrzał w oczy Polki, w te oczy gazelli, ten uwierzy w niebo, choćby największym był niedowiarkiem."

*** Jako *pendant* do opisu Heinego o Polkach, podajemy charakterystykę Polaków, zamieszczoną w wydawnictwie „Russkaja Myśl" w zeszycie lutowym przez współpracownika tegoż pisma, podpisującego się pseudonimem „Prawdolubiec":

„Obok niektórych świetnych swoich przymiotów, mają i wady pewne Polacy.

„Wady te wynikają z nadzwyczajnej wrażliwości Polaków, w skutek czego, Polak, lubo zdolnym jest do uniesień i porywów najszlachetniejszych, nakazuje nieraz milczeć rozumowi a nawet sprawiedliwości.

„Dzięki wrażliwości, Polak albo kocha ślepo, albo ślepo nienawidzi.

„Jeżeli kocha, to ubóstwia, jeżeli nienawidzi, rób co chcesz, przekonywaj, przedstawiaj następstwa, okazuj dowody, proś go i zaklinaj, a on słuchać cię nie zechce.

„Ale jeżeli nie stracisz energii i przekonać potrafisz, o wtedy ze łzami w oczach rzuci ci się w objęcia i przed chwilą wróg twój zawzięty, stanie ci się przyjacielem wiernym, serdecznym.

„W tej właściwości charakteru polskiego, trzeba szukać przyczyny pomyłek politycznych, jakich się Polacy dopuszczają.

„Dzięki wrażliwości i ognistości, dzięki niepraktyczności i — fantazyowaniu, Polak zdolny jest do złudzeń i dla nich gotów do ofiar najcięższych i osobistych i materyalnych zarówno.

„Patryotyzm Polaków jest ślepym, dla uszanowania patryotycznych dogmatów gotów jest Polak do najzgubniejszych patryotycznych wysiłków."

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Na wieczorku krakowskiego koła artystyczno-literackiego d. 25 z. m., p. Jan Grzegorzewski miał odczyt p. n. „Dawne łabędzie śpiewy ludów słowiańskich".

Przedmiotem odczytu stanowiącego pierwsze ogniwo całego szeregu prelekcyi o życiu i literaturze ludów słowiańskich, były zamarłe ludy połabskie, a jak je prelegent nazywał zachodnie-lechickie, przedewszystkiem zaś Słowacy, których kraj był kolebką działalności śś. Cyrylla i Metodego. Według prelegenta, owym śpiewem łabędzim było Wyznanie Jana Paruma Szulca, z początku zeszłego wieku. Mówił także o Janie Holli, tym Homerze słowackim, którego stuletnią rocznicę urodzin, ziomkowie niedawno tak uroczyście obchodzili. Oryginalne rękopisy trzech elegii, czyli „żalo-śpiewów" tego poety, nadesłali w darze Słowacy na ręce prelegenta, jako bogatą relikwię narodową, dla trzech największych zbiorów bibliotecznych w Polsce.

*** Najwyższym dotąd gmachem jest katedra Kolońska, mająca 159 met. wysokości — i o wyższej budowie z kamienia prawie niepodobna myśleć. Obecnie pp. Nonguier, Koechlin, Eissel i Souvestre, umyślili wznieść w Paryżu kolosalną wieżę dwa razy tak wysoką, posługując się żelazem. Wieża ta a raczej piramida żelazna, ma być dodatkiem do Wystawy i pozostać po jej zamknięciu, jako trwały pomnik wielkiej uroczystości narodowej. Plany są gotowe.

Gmach ten wsparty na czterech olbrzymich łukach i czterech kolosalnych podstawach, będzie miał oszkloną kopułę, z której roztaczać się będzie widok na rozległość 120 kilom., kopuła ta stanowić ma pierwsze piętro, obejmujące 5,000 metrów przestrzeni. Dalej strzelająca w górę, coraz zwężająca się piramida, dzielić się będzie na trzy piętra, a na ich szczycie rodzaj latarni. Na pierwsze piętro dostać się będzie można małemi, kręconemi schodami lub windą — wyżej mało kto zapewnie wdzierać się zechce. Stacya 1-go piętra służyłaby do obserwacyi astronomicznych i meteorologicznych, a jakże to wpaniały byłby widok, gdyby z takiej wysokości, wśród cieniów nocy, padał na Paryż wielki snop światła elektrycznych promieni. Istna nowa wieża Babel — autorowie projektu i planów, nader gorliwie krzątają się, aby mogły być wykonane.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom drugi pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł i obejmuje dalszy ciąg**

„Kłopotów Starego Komendanta".

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom **kop. 60;** za tomów 12 **rs. 7 k. 20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom **kop. 70;** za tomów 12 **rs. 8 k. 40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom **rs. 1 k. 20;** za tomów 12 **rs. 14 k. 40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom **rs. 1 k. 30;** za tomów 12 **rs. 15 k. 60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

Prenumeratę w ilości 12 rs. (koszta przesyłki 1 rs.) na mapę poglądową Królestwa Polskiego ułożoną przez J. Wójcicką przyjmuje Redakcya naszego pisma.

Po zamknięciu prenumeraty, co w dniu 15 kwietnia nastąpi, cena mapy wynosić będzie 15 rubli. Mapa kolorowana wyjdzie **w połowie maja** i oddaną będzie prenumeratorom **w końcu maja,** podklejona na płótno, werniksowana, oprawiona w dwa wałki ozdobnemi gałkami zakończone. Do zawieszenia mapy służyć będzie sznur trzema pętlicami zaopatrzony.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Марта 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.



N. 1. Hafcik do koszuli ryc. 37.

Opis do N-ru 15.

(*Dokończenie.*)

N. 18. Koszula dzienna z karczkiem z tego co koszula materyału. Krój N. XV, fig. 54—57.

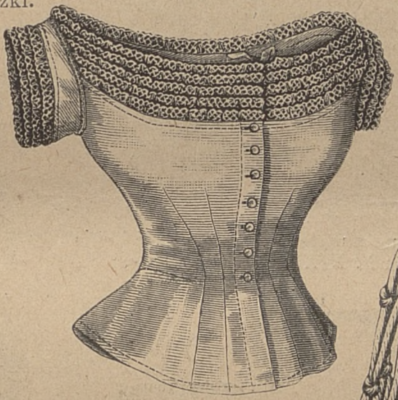
Górny podkrój stanu oznaczony jest na formie cienką linijką. Przód koszuli wszywa się do karczka, przykrojonego podwójnie podług fig. 55), od *b* do *d*, tylną część karczka kraje się podług fig. 56, a plecy wszywa się do niego od *e* do *d*. Na ramionach zeszywa się karczek od krzyżyka do punktu, a mały rękawek wszywa się od *a* do *d* do stanu, a od *d* do *g* do karczka.

N. 19. Koszula dzienna z karczkiem koronkowym.

Do batystowej koszuli karczek i garnirunek rękawków był z koronki. Przyszycie koszuli do karczka przykrywa wąziutka listewka, albo tasiemeczka koronkowa ozdobiona supełkami, z pod której spada na stan koronka. Na ryc. 29 dajemy taki karczek w miejsce koronki, ozdobiony sutym haftem „madera", do którego deseń dajemy na fig. 40.



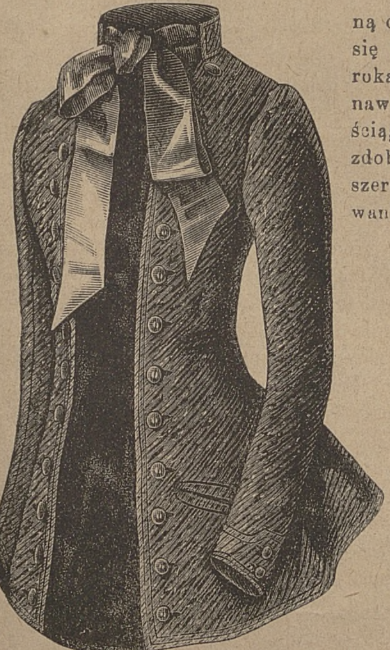
N. 4. Żabot formą kokardy z koronki i wstążki.



N. 6. Staniczek na gorset.

N. 36. Majtki ściągane na tasiemkę. Krój N. XVIII, figury 69—70.

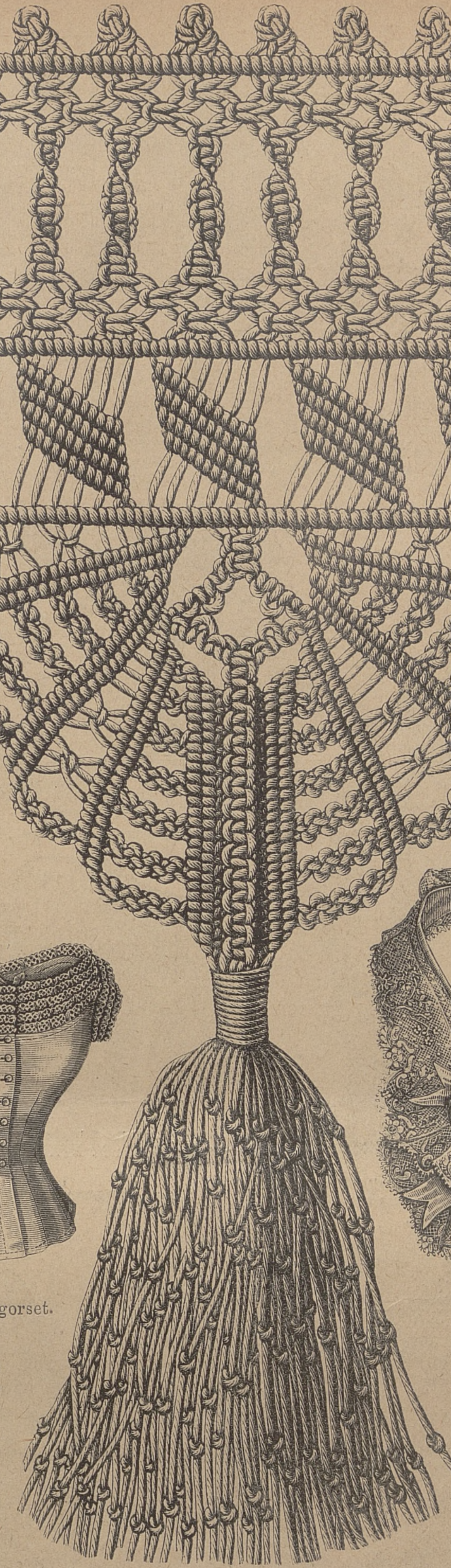
Długość przedniej części majtek dopełnia pasek podwójny przykrojony skośnie podług fig. 70, którego trochę zaokrąglona forma gładko przylega do figury. Dłuższą, tylną część majtek podszywa się listewką 3 cent. szeroką, przestębnowaną do nawleczenia tasiemki do ściągania. Dół majtek zdobi garnirunek 12 cent. szeroki, z drobnego plisowania i koronki.



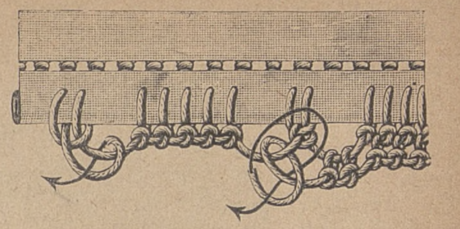
N. 8. Paletocik z kamizelką. Krój, plecy i opis na arkuszu N. II, fig. 8—16.

N. 30. Kaftanik negliżowy, haftowany. Widok pleców i deseń fig. 86 i 90. Krój jak do ryc. 4 w N-rze 14.

Model kaftanika odrobiony był z białej flanelki. Małe zmiany w kroju do ryc. 4 w N-rze 14; łatwo podług ryc. 80 wykonać, a materyał, dodany do brzegu przodów, trzeba zaszyć w zakładki. Kamizelkę, mankiety, patki do kieszeni i kołnierzyk, zdobi haft płaski, robiony bawełną niebieską i ponsową.



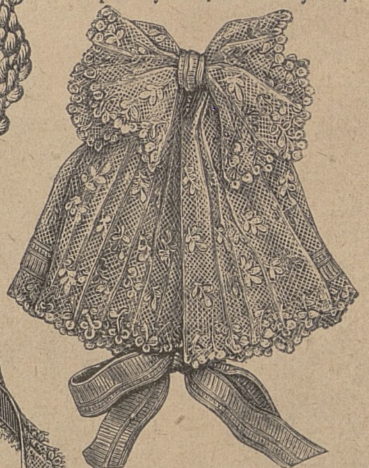
N. 3. Frendzla robotą wiązaną (macramé).



N. 2. Wykonanie brzeżku koronkowego do ryc. 10—11.

N. 32. Kaftanik nocny z karczkiem. Krój N. XXVI, fig. 84.

Na formie w naturalnej wielkości do ryc. 31, (N. XVI, fig. 59—60), oznaczona jest cienką linijką forma karczka do ryc. 32, zaś mały model kroju i miary dolnych części kaftanika, dajemy na ryc. 84. Przy kaftaniku odrobionym z białej satynki, przednie części karczka były zeszyte z cienkich wstawek koronkowych, robionych na klockach, następnie rozdzielonych w równe, 2 i pół do 3 cent. trzymające kraty, pół cent. szerokiemi płóciennemi szlaczkami, haftowanemi w supełki, które z lewej strony podszyte są dla mocy wązką tasiemeczką. Przyszycie kaftanika do karczka, przykrywa skośna, 1 cent. szeroka listewka z satynki, po brzegach zakończona wązką nicianą koronką, a z wierzchu naszyta płóciennym, pół cent. szerokim haftowanym szlaczkiem. Odpowiednio ozdobiony jest także stojący kołnierzyk, obręb z wierzchu i mankiety ze wstawek koronkowych. Rękawy przykroić podług fig. 61.



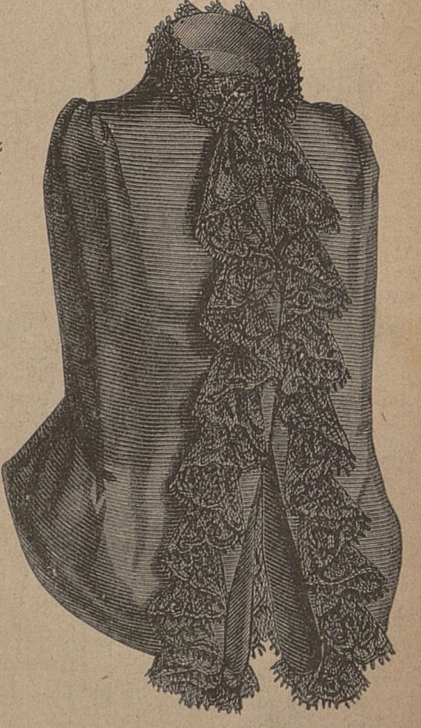
N. 5. Żabot koronkowy.



N. 7. Chusteczka z koronki i wstążki.

N. 33—34. Koszula nocna zapinana z boku. Krój i deseń do haftu N. III, fig. 17—22.

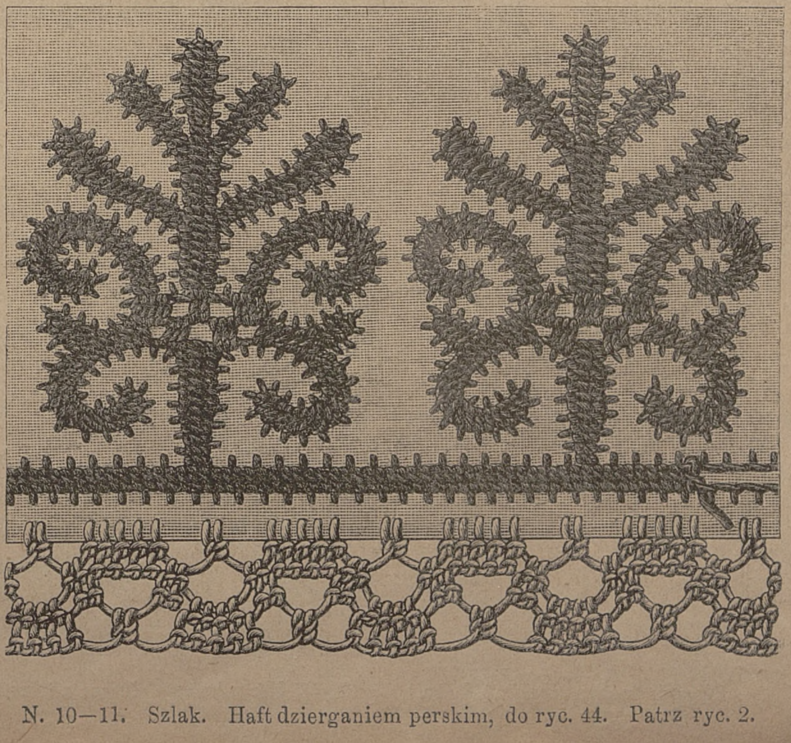
Brzeg lewy przedniego wykroju wszywa się w skośną, 2 cent. szeroką listewkę do guzików. Do brzegu z prawej strony przyszywa się plastron przykrojony podług fig. 18, na której przyszycie wstawki i szlaczku haftowanego, oznaczone linijkami. Środek plastronu cały zaszyty w drobne zakładki. Część garnirunkową (fig. 19) zeszytą z plastronem od dwukropka do gwiazdki, stanowi szeroka haftowana wstawka, oszyta koronką, do której deseń dajemy na fig. 22. Karczek do pleców kraje się podwójnie.



N. 9. Okrycie dla młodej osoby. Krój i plecy na arkuszu N. XIII, fig. 49—51b.

N. 37 i ryc. 1. Nocna koszula z zakładkami. Krój podług ryc. 33 i 34.

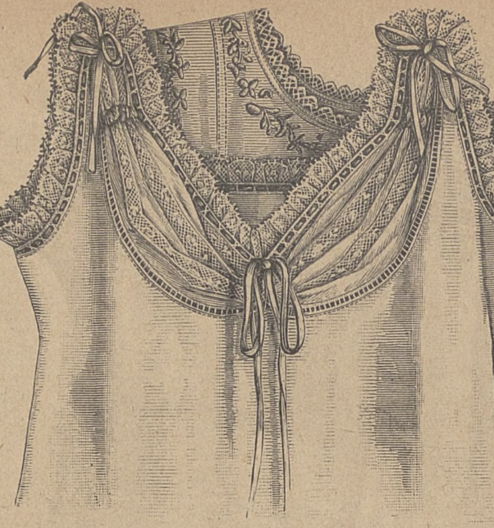
Do brzegów rozporka 40 cent. długiego, przystębnowane są listewki 2 cent. szerokie do dziurek i guzików, za któremi stan z obydwóch stron zaszyty jest w dwie grupy zakładek razem 6 cent. szerokich, przedzielonych szlaczkiem



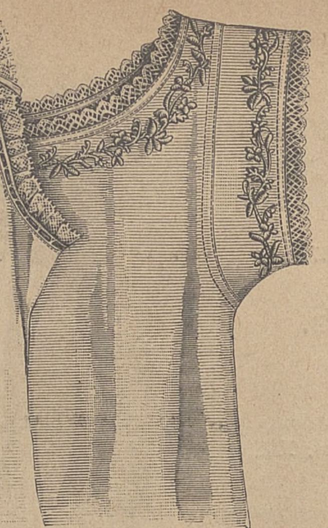
N. 10—11. Szlak. Haft dzierganiem perskim, do ryc. 44. Patrz ryc. 2.



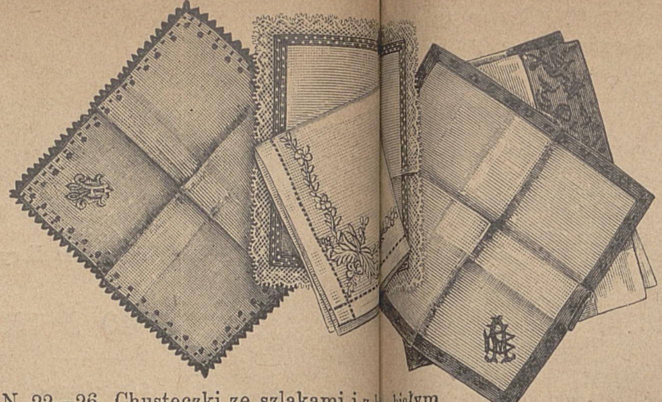
N. 12. Czepeczek z denkiem wywodzonem na tiulu. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 31. Patrz ryc. 11 w N-rze 14.



N. 15. Koszula dzienna zdobna bufkami. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 26–28.



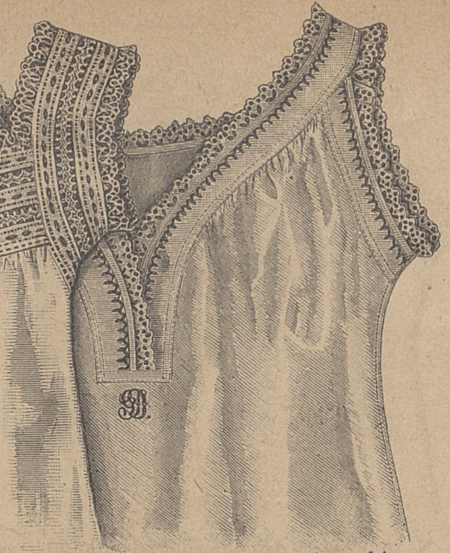
N. 16. Koszula dzienna z haftem. Krój i opis na arkuszu N. XIV, fig. 52–53.



N. 22–26. Chusteczki ze szlakami i z ...m białym i kolorowym.



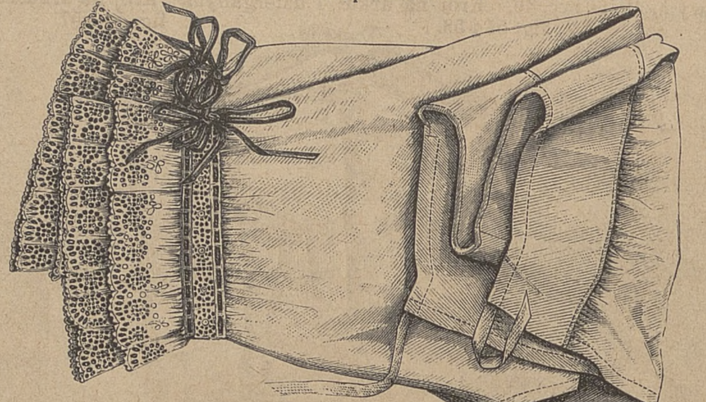
N. 17. Koszula dzienna z karczkiem szydełkowym. Patrz ryc. 46. Krój na arkuszu N. XV, fig. 54 i 58.



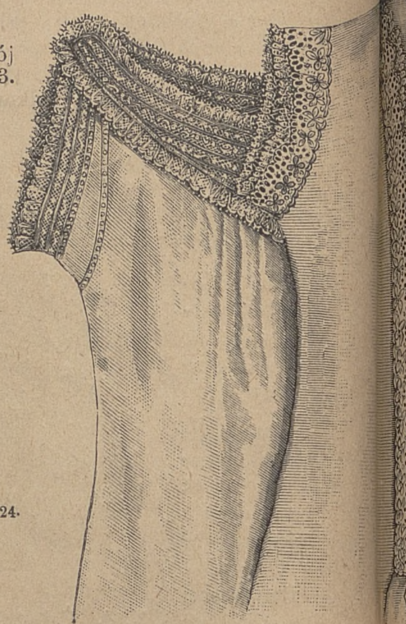
N. 18. Koszula dzienna z karczkiem dzierganym. Krój na arkuszu N. XV, fig. 54–57.



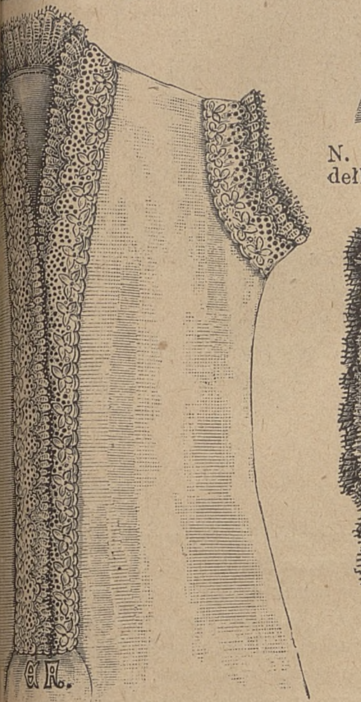
N. 13. Negliżyk z aksamitnem denkiem. Krój na arkuszu N. VII, fig. 29 30.



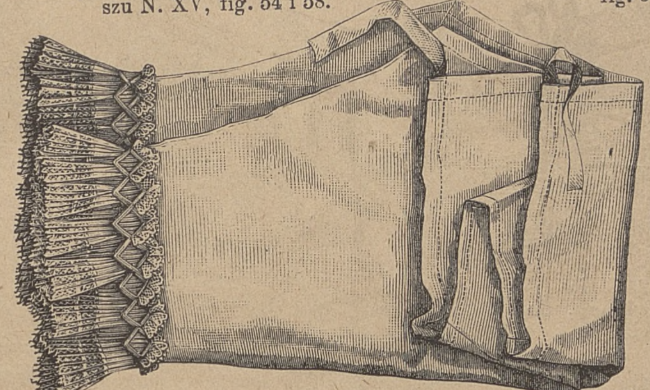
N. 27. Majtki z okrągłym kerczkiem Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 23–24.



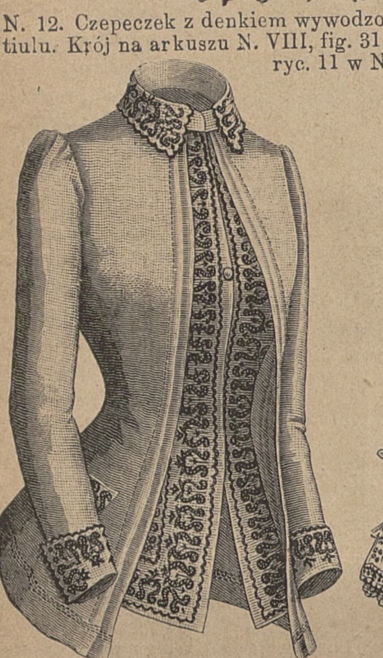
N. 19. Koszula dzienna z karczkiem koronkowym. Patrz ryc. 29.



20. Koszula dzienna zachodząca pod ...ję. Krój i opis na ark. N. V, fig. 25.



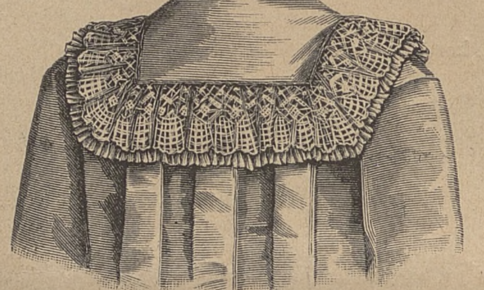
N. 28. Majtki ściągane na tasiemkę. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 69–70.



N. 30. Kaftanik negliżowy zdobny haftem. Plecy i deseń na arkuszu fig. 86 i 90.



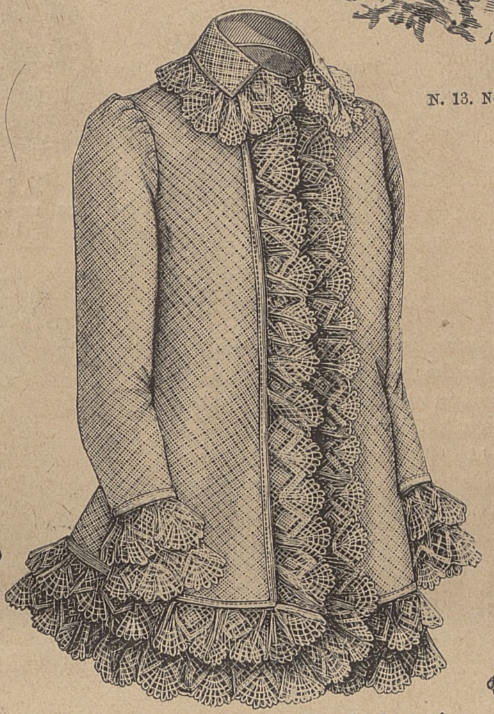
N. 33. Koszula nocna z boku zapinana. Patrz ryc. 34. Krój i deseń na arkuszu N. III, fig. 17–22.



N. 35. Koszula nocna z materyi surah. Krój i opis na arkuszu N. XIX, fig. 71–75.



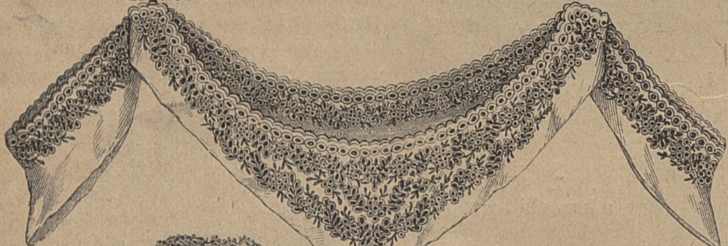
N. 29. Szlak do majtek, złożony ze wstawki ryc. 54 i z koronki szydełkowej ryc. 53.



N. 31. Kaftanik nocny z szerokiemi plecami. Krój i opis na arkuszu N. XVI, fig. 59–62.



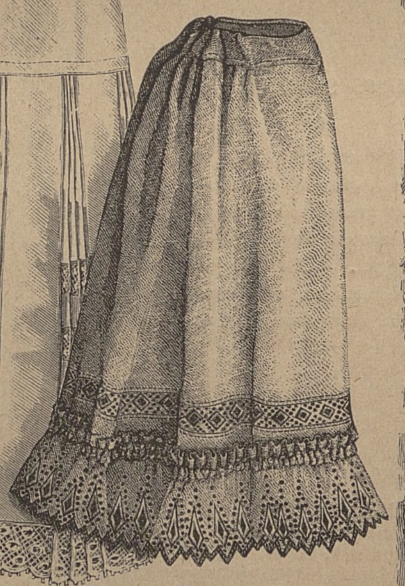
N. 32. Kaftanik nocny z karczkiem. Krój na arkuszu N. XXVI, fig. 84.



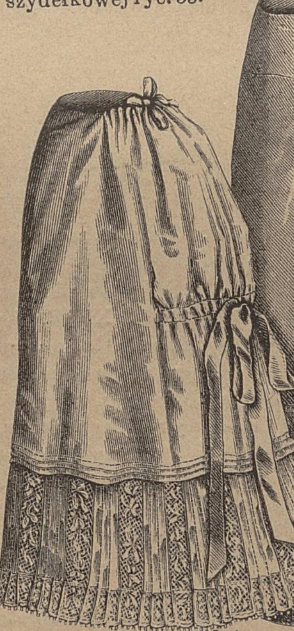
N. 21. Karczek z haftem Madeira, odpowiedni do ryc. 19, deseń patrz fig. 40.



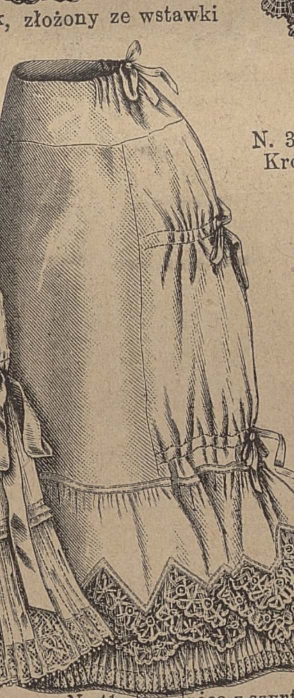
N. 38. Spódnica batystowa.



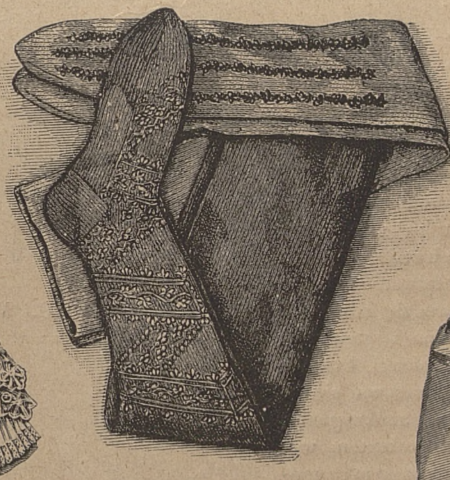
N. 39. Spódniczka flanelowa, deseń patrz fig. 85.



N. 40. Krótka spódnica z materyi surah. Krój i opis na ark. N. XXIII, fig. 81.



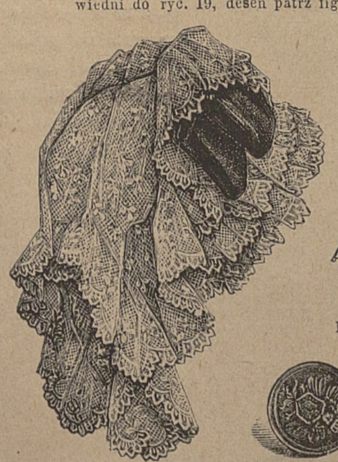
N. 41. Spódnica z szyrtyngu. Krój i opis na arkuszu N. XXII, fig. 80.



N. 42–43. Pończochy kolorowe.



N. 48. Kokarda do włosów lub do sukni.



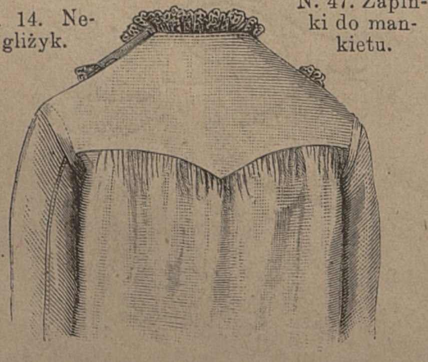
N. 14. Negliżyk.



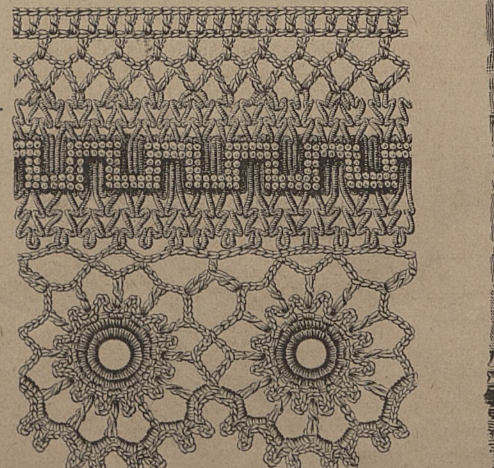
N. 47. Zapinki do mankietu.



N. 44. Penioar formą burnusa. Krój i opis na arkuszu N. X, fig. 37.



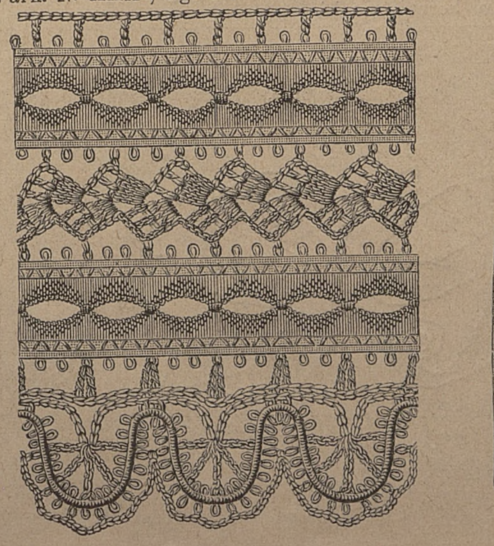
N. 34. Koszula nocna zapięta z boku. Patrz ryc. 33.



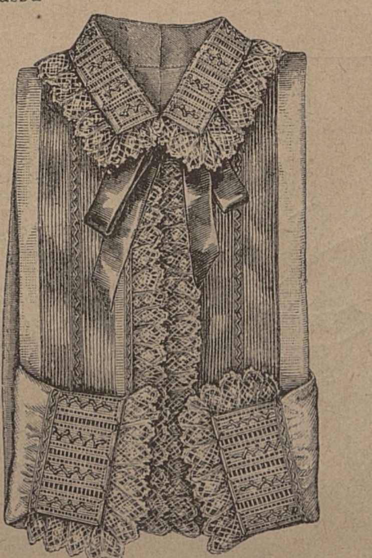
N. 45. Koronka szydełkowa z torsadką.



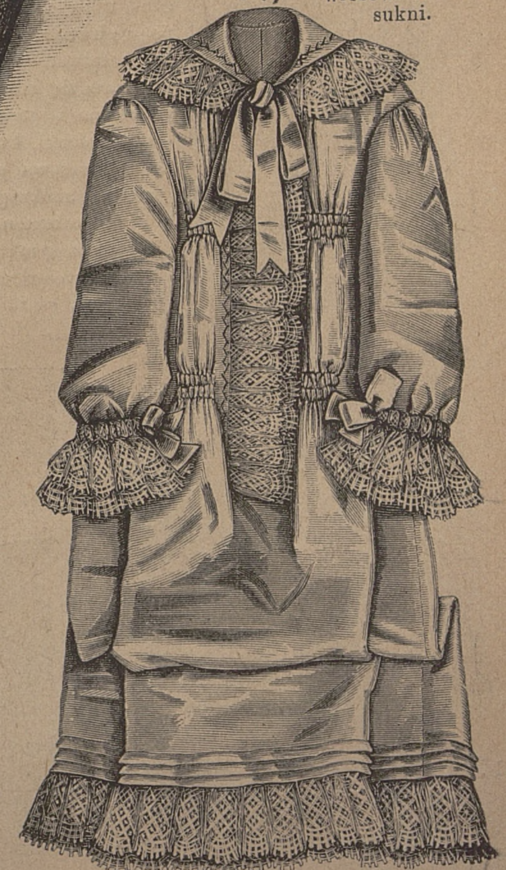
N. 49–50. Szlafroczek formą princ... Krój i opis na arkuszu N. XI, fig. 38.



N. 46. Koronka szydełkowa z tasiemeczką.

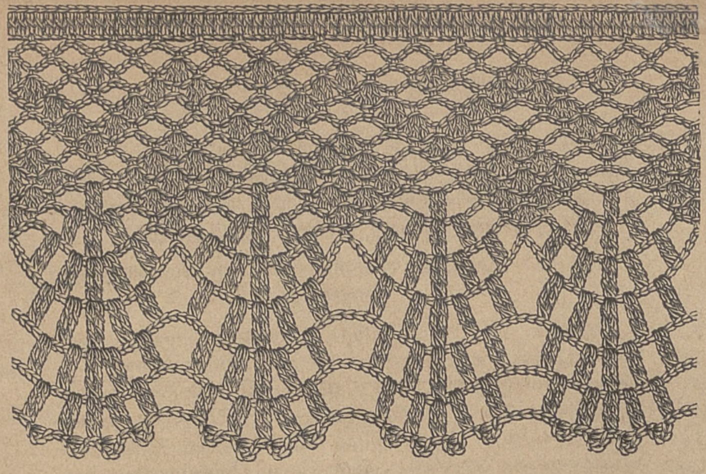


N. 37. Koszula nocna z zakładkami. Patrz ryc. 1.



N. 36. Koszula nocna z materyi surah. Patrz r. 35. Krój i opis na ark. N. XIX, fig. 71–75.

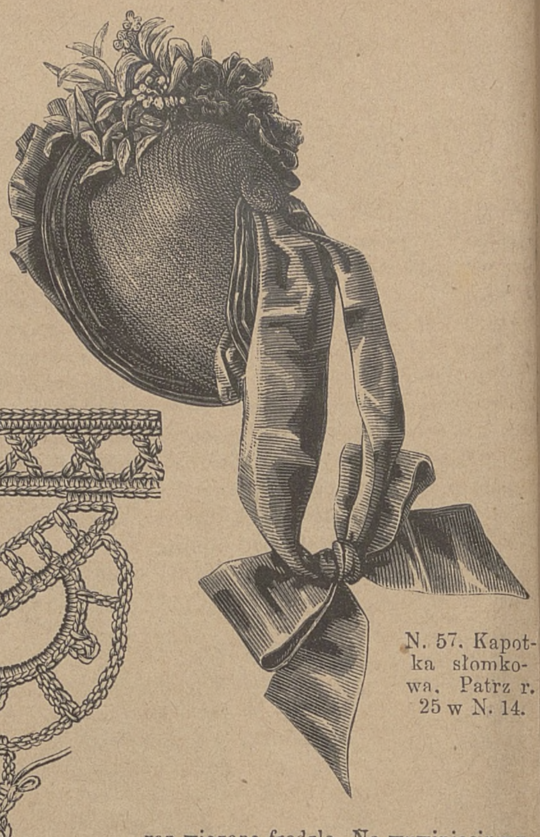
wyszytym podług ryc. 1. W każdej grupie jest po 10 zakładek, które w odstępie 50 cent. od ramion, są luźno puszczone. Wykrój szyi wszywa się w pa-



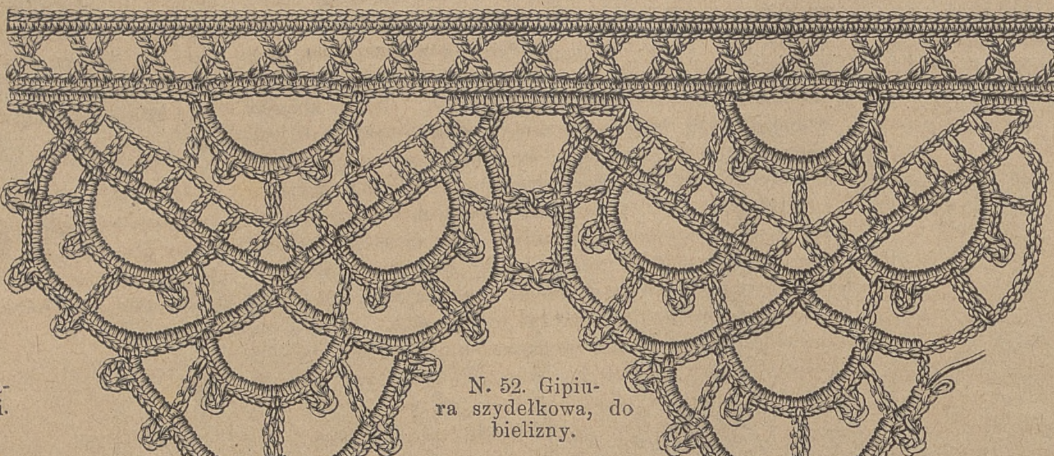
N. 51. Koronka szydełkowa.

niebieskiego płótna. U dołu przyszyty był na 11 c. wystający pas płótna kanwowego, 44 c. szeroki, w górze na 11 c. wywinięty i zakończony siepaną





N. 57. Kapotka słomkowa. Patrz r. 25 w N. 14.



N. 56. Kapotka tiulowa zdobna kwiatami. Końce do wiązania z aksamitki.



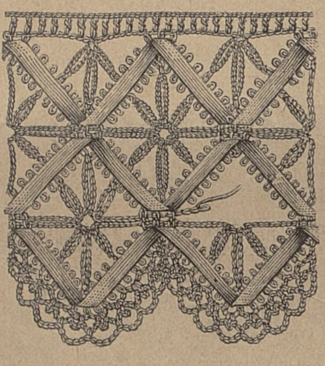
N. 52. Gipiura szydełkowa, do bielizny.

sek 3 i pół cent. wysoki, do którego przyszywa się kółnierz 4 cent. szeroki oszyty koronką, któren zarówno jak i mankiety 6 cent. szerokie, otwarte przy szwie zwierzchnim, składa się z pasków 13 cent szerokich, wyszytych podług ryc. 1, przedzielanych listewkami $^3/_4$ cent. szerokiemi, z któremi są spajane kratką paryską.

N. 38. Długa spódnica batystowa.

Na małym modelu kroju do ryc. 41 (fig. 89) dane są także miary spódnicy ryc. 38. pokrytej wolantem ozdobionym wstawkami koronkowemi, przystębnowanym listewką skośną w odstępie 17 cent. od górnego brzega. Wolant ten mający 675 cent. obwodu, składa się z pasów gładkich 16 cent. szerokich i z części 25 cent. szerokich ułożonych w fałdki, przedzielanych poprzecznie, 5 wstawkami koronkowemi. Fałdki trzeba dobrze zaprasować i podszyć z lewej strony tasiemką.

N. 39. Krótka spódniczka flanelowa, ozdobiona haftem. Deseń na fig. 85.



N. 53. Koronka szydełkowa z tasiemeczką.

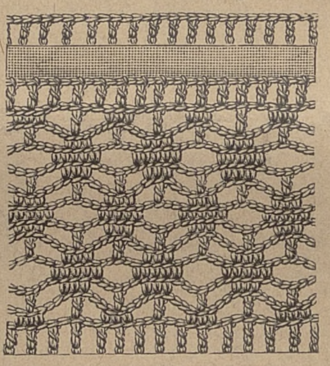
Spódniczka biała flanelowa, ma o prócz wolantu 66 cent. przedniej, 70 cent. tylnej długości, a 185 cent. dolnego obwodu. Wolant 15 cent. szeroki, haftowany włóczką niebieską przemarszcza się kilka razy, zakończa nagłówkiem i przyszywa do spódniczki, którą w górze wszywa się w pasek zaokrąglony. Nad wolantem wyhaftowanym na spódniczce szlaczek 6 cent. szeroki.



N. 58. Woreczek na brudną bieliznę.

raz wiązaną fredzlą. Na wywinięciu wyszyty ściegiem krzyżowym, bawełną kolorową szlaczek 4 i pół c szeroki; poniżej wywinięcia wyszyta prążka 4 sciegi szeroka i gałązki 13 i 9 sciegów wysokie. U dołu lambrekina wycięta jest w zęby 18 c. wysokie z brzegu wązko wysiepane, ozdobione haftem kolorowym krzyżowym. W górze woreczek zakończony obrębem 7 cent. szerokim przeszytym do nawleczenia.

N. 59. Paletot luźno wcinany. Krój i widok pleców na dodatku z krojami N. XII fig. 44—48.

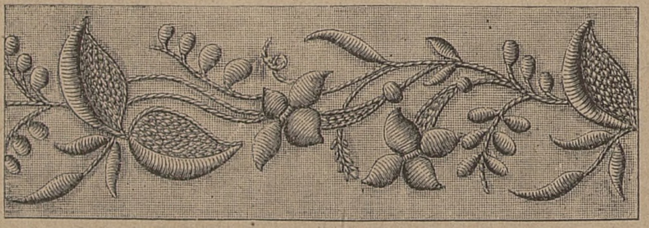


N. 54. Wszywka szydełkowa.

Materyał dodany przy krajaniu pleców, do szerokości płaszczyka, składa się w dwie w środku się schodzące, do spodu złożone, mocno zaprasowane fałdy; zaś materyał dodany między pleckami i boczkami w kontrafałdę na wierzch zachodzą. Zwierzchni materyał rękawów marszczy się i spuszcza w bufkę u dołu na gładkiej podszewce a w mankiety aksamitne daje się klejonkę.

N. 60. Suknia z vêtement. Model kroju N. XXIV, fig. 82.

Spódnica atłasowa jest ogarnirowana wolantem plisowanym, 26 cent. szerokim, a bryt przedni i bryty boczne zdobi haft sznelowy robiony na tiulu, wycięty u dołu w zęby szpiczaste. Vêtement zrobione było z popeliny; miary krótkiej przedniej draperyi z boków do 6 cent. sfałdowanej dajemy na fig. 82 litera *a*. Przody stanika są z bawetem, boczki z krótką baskiną, a plecy kraje się razem z draperyą tylną, podług *b* i *c* fig. 82, draperyę upiąć w sposób wskazany na ryc. 60.



N. 55. Haft do koszuli ryc. 16.



N. 59. Paletot półwcięty. Krój i plecy na arkuszu N. XII; fig. 44—48.



N. 60. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. XXIV, fig. 82.



N. 61. Szlak do ryc. 9—10 w N-rze 14.

N. 58. Woreczek na brudne kołnierzyki i t. p, ozdobiony haftem krzyżowym.

Woreczek 48 cent. długi a 60 cent. szeroki, zrobiony był z wiedeńskiego